

Wejherowski Konkurs Literacki

# Powiew Weny



MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
W WEJHEROWIE  
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO

WEJHEROWO 2015





Miejska Biblioteka Publiczna  
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

X Wejherowski Konkurs Literacki

# **POWIEW WENY**

pod patronatem  
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2015

W y d a w c a:

**Miejska Biblioteka Publiczna w Wejherowie  
im. Aleksandra Majkowskiego**

Opracowanie i skład komputerowy:  
Henryk Połchowski

Korekta: Krzysztof Powałka

Projekt okładki: Henryk Połchowski

Druk: MIDI-DRUK Wejherowo

ISBN 978-83-928233-7-7

## Drodzy Czytelnicy

Każdy jubileusz jest okazją do wspomnień i spojrzenia wstecz. Jako organizatorzy konkursu, organizowanego od 10 lat pod patronatem Prezydent Miasta Wejherowa Krzysztofa Hildebrandta, chcielibyśmy z tej okazji przypomnieć w skrócie najważniejsze akcenty minionych konkursów, w tym także nazwiska osób, które swoimi sukcesami w konkursie literackim „Powiew Weny“ zapisały się w najnowszej historii kultury naszego miasta.

Pierwszy Wejherowski Konkurs Literacki został zorganizowany w 2006 roku z okazji 60. lecia Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie pod hasłem „Czas należy do nas“. Wówczas nikt jeszcze nie myślał o kontynuowaniu tego konkursu. Pomysł na jego kontynuację powstał pół roku później - wiosną 2007 roku. Działacze kultury skupieni wokół biblioteki spotykali się kilkakrotnie z panią dyrektorką Danutą Balcerowicz zastanawiając się nad formułą i nazwą konkursu. Ostatecznie postanowiono utworzyć dwie kategorie wiekowe piszących: młodzież do lat 19 oraz dorosłych - od 20 lat wzwyż, z podziałem na poezję i prozę. Nazwę konkursu „Powiew Weny“ zaproponował redaktor Henryk Połchowski i pod tą nazwą konkurs funkcjonuje do dziś.

Zadecydowano wtedy również, że każdego roku organizatorzy będą przygotowywać nowe motto konkursu. Aby podtrzymać nawiązanie i ciągłość zainicjowanego rok wcześniej konkursu „Czas należy do nas“ w 2007 roku uczyniono go mottem konkursu. W kolejnych latach pisarze i poeci otrzymywali inspiracje twórcze w postaci nowych mott, które zachęcały do podejmowania sugerowanych tematów. Było to następujące hasła: „Słowa z głębin duszy“, „Pędź na spotkanie przygody, zanim inni zajmą twe miejsce“, „Słowianie, my lubim sielanki“, „To się mogło zdarzyć

tylko w Wejherowie“, „Navigare necesse est...“, „Czas jest tempem, w którym zanika przeszłość“, „Dopóki człowiek nie obejmie współczuciem wszystkich żywych stworzeń dopóty on sam nie będzie mógł żyć w pokoju“. Do ciekawych i niestandardowych pomysłów należały na pewno inicjatywy takie jak: pisanie opowiadań w języku kaszubskim czy angielskim, a także otwarcie na motywy z literatury słowiańskiej, związane z projektem biblioteki zatytułowanym „Na Południe“. Zgodnie z życzeniem uczestników ubiegłorocznej Weny mottem tegorocznego konkursu było hasło „Niech ten jubileusz milowym będzie kamieniem“.

W okresie minionego 10-lecia na Wejherowski Konkurs Literacki „Powiew Weny“ napłynęło w sumie 361 opowiadań i zestawów poetyckich. To okazały plon, z którego możemy być dumni. Konkurs zaowocował wyłonieniem oraz wypromowaniem wielu lokalnych pisarzy i poetów z naszego miasta i regionu.

W kategorii prozy wśród dorosłych zdobywcami pierwszych nagród byli: wejherowianie - Lucyna Kurpiewska - trzykrotnie, Mirosław Odyniecki, Krzysztof Szkurłatowski oraz Piotr Skurzyński z Redy, Lesław Furmaga z Gniewina, Lidia Zdzitowiecka z Gościcina i Stanisław Szulist z Sobowidza. Po pierwszą nagrodę w kategorii poezji wśród dorosłych sięgali: dwukrotnie Tadeusz Buraczewski z Redy, Edyta Wysocka z Miastka, Maciej Kotłowski z Wejherowa, Hubert Duzinkiewicz z Kwidzyna, Aleksandra Taciak z Luzina i Daria Węsierska z Rumi.

Zdobywcami pierwszych nagród w kategorii młodzieży - do lat 19. włącznie byli - w prozie: wejherowianie - Mateusz Wasilka i Marcin Janik, Karolina Selonke z Lęborka, Aleksander Nowak z Kwidzyna i Małgorzata Witka-Jeżewska z Redy, natomiast w poezji: wejherowianki - Magdalena Wołosiak, Luiza Czupajło i Michalina Tańska oraz Marcin Pelcer z Barłomina i Monika Lidzbarska z Szumuda. Lista laureatów byłaby kilkarotnie dłuższa, gdybyśmy zacytowali zdobywców drugich i trzecich nagród oraz wyróżnień.

Należy podkreślić, że nagrodzone a także wyróżnione utwory prozatorskie i poetyckie zostały opublikowane w 8. kolejnych wydawnictwach książkowych pod tytułem "Powiew Weny" wydanych

nakładem Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie. Autorzy, których prace zostały opublikowane w tych almanachach, otrzymali je na pamiątkę. Fragmenty nagradzanych utworów były również publikowane w Biuletynie Informacyjnym Urzędu Miejskiego „Nowiny“ w Wejherowie. Dodajmy, że nazwiska laureatów po zakończeniu każdego etapu konkursu publikowane były także w mediach. Jesteśmy przekonani, że tak zastosowana popularyzacja konkursu i jego laureatów pozwoliła wypromować wielu autorów i uwiecznić ich dokonania.

Jeśli mowa o historii konkursu trzeba też pamiętać o jurorach, którzy pracowali nad oceną tych utworów. Od samego początku w pracach komisji konkursowej uczestniczyła dyrektor biblioteki Danuta Balcerowicz. Przez 9 lat sprawowałem funkcję przewodniczącego komisji osobiście. Do najdłużej pracujących w komisji należą: Henryk Połchowski - 9 lat, Ewelina Magdziarczyk-Plebanek - 5 lat oraz Eugenia Drawz - 4 lata. Dwukrotnie w jury konkursu pracowali: Jan Plata-Przechlewski i Tomasz Fopke. Jednorazowo w jury zasiadali: Anna Michowska, Grażyna Wirkus, dr Olga Aleksandrowska, dr Duszan Paździerski, Roman Drzeżdżon, Dariusz Majkowski, Olga Tomaszewska i Teresa Patsidis. Wszystkim jurorom „Powiewu Weny“ wyrażam uznanie i serdeczne podziękowanie.

Prezydent Wejherowa Krzysztof Hildebrandt wysoko ceni inicjatywę literacką wejherowskiej Miejskiej Biblioteki Publicznej i zamierza wspierać organizację „Powiewu Weny“ tak długo, jak będzie na to zapotrzebowanie wśród piszących. Dotychczasowe statystyki dowodzą, że zainteresowanie konkursem nie maleje. Nasze miasto wydało wielu znakomitych twórców takich jak: Regina Osowicka, Dorota Masłowska, Stanisław Janke, Piotr Schmandt i wielu innych. Jestem przekonany, że warto nadal inwestować w rozwój sztuki literackiej w naszym mieście, powiecie i regionie, bo nasi uzdolnieni mieszkańcy w pełni na to zasługują. Stanowi to znakomitą promocję Wejherowa.

Na wniosek Starostwa Powiatowego w Wejherowie, które ufundowało zakup nagród rzeczowych dla młodzieży, postanowiliśmy w tym roku przywrócić kategorię młodzieży dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych. Było to dobrym posunięciem, gdyż na X Wejherowski Konkurs Literacki 2015, napłynęły 43 prace, w tym 20 w kategorii młodzieży. Zgodnie



z tegorocznym regulaminem w kategorii młodzieży nie dokonaliśmy podziału nagród na poezję i prozę. Gwoli wyjaśnienia dodam jednak, iż w kategorii młodzieży znalazło się 13 opowiadań i 7 zestawów z poezją. W kategorii osób dorosłych zgłoszone zostały do konkursu 23 prace: 10 opowiadań i 13 zestawów wierszy.

Jury konkursu pod moim przewodnictwem w składzie: Tadeusz Dąbrowski - poeta i krytyk literacki, Barbara Gusman - dyrektor Powiatowej Biblioteki Publicznej w Wejherowie, Ewelina Magdziarczyk-Plebanek - bibliotekarz, teatrolog, kulturoznawca oraz Henryk Połchowski - dziennikarz, pisarz i poeta, po dokonaniu analizy prac zgłoszonych do konkursu zdecydowało, że w żadnej z kategorii nie przyznano Nagrody Grand Prix. Mimo to, uważam że poziom literacki tegorocznego konkursu, szczególnie w kategorii prozy był wysoki, a wątki treściowe opowiadań - nader interesujące i dające wiele do myślenia.

Bogdan Tokłowicz  
Przewodniczący Komisji Konkursowej

## WYNIKI

### X edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny" z dnia 27 października 2015 roku.

#### W kategorii - Dorośli

##### PROZA

I miejsce - za opowiadanie pt. „Urodziny“, godło „Zasnuty“  
- Krzysztof Szkurlątowski z Wejherowa.

II miejsce - za opowiadanie pt. „Tajemnica wydarta grobom“,  
godło „Stary człowiek“ - Daria Kaszubowska z Rąbu;

III miejsce - za opowiadanie pt. „O wielkim Świącie  
i o czternastu szarych braciach“, godło „All Antico“

- Bogusława Zubrzycka z Wejherowa;

Wyróżnienie - za opowiadanie pt. „Gagoł. Początek“,  
godło „memling77“ - Tomasz Mering z Wejherowa;

##### POEZJA

I miejsce - za wiersze pt. „kolejna rocznica wiosny“, „szczęście“  
i „siostrze“ - godło „OKO 3“ - Hanna Makurat z Gdańska;

II miejsce - za wiersze bez tytułów, godło „Izumi“  
Bogumiła Mielewczyk z Bolszewa;

III miejsce - za wiersze pt. „przeszła terażniejszość“, „nic“,  
„liberał i niewolnik“, godło „Kontrabas“

- Andrzej Waszkiewicz z Bytowa;

Wyróżnienie: godło „LataWICA“ - Patrycja Pionke z Wejherowa.

#### W kategorii - Młodzież

I miejsce - za opowiadanie bez tytułu, godło „Róża Wiatrów“  
Martyna Selonke - ZSP nr 4 w Wejherowie;

II miejsce - za opowiadanie bez tytułu, godło „Winny Lis“  
Marcin Romanik z Rumi;

III miejsce - za opowiadanie pt. „Powiew weny“, godło „Maus“,  
Arleta Gruba z Luzina;

Wyróżnienie - za opowiadanie pt. „Niech ten jubileusz będzie miłym  
kamieniem“, godło „Orzeł“, Agata Jedtke z Gościcina;



## Urodziny

Wierciłem się, przewracałem niespokojnie z boku na bok. Nie bardzo zważałem na spokojny sen braci leżących obok mnie. Nie mogłem doczekać się świtu. Od rana chciałem świętować swoje dziesiąte urodziny. Wiedziałem, że babcia upiecze moje ulubione ciasto ze śliwkami, bracia będą ustępować mi we wszystkim, a dziadek zabierze mnie do miasta. Po południu mieli mnie odwiedzić koledzy z mojej klasy i dzieci z sąsiedztwa. Co prawda, dziadkowie tonowali mój entuzjazm i uprzedzali, że z powodu niespokojnych czasów nie wszyscy dotrą, ja jednak nie myślałem o tym. To miały być przecież moje dziesiąte urodziny!

Noc przeciągała się jak na złość. Wsłuchiwałem się w jej odgłosy, wzdychałem ciężko co jakiś czas. Kogut wciąż nie piał, słońce nie wstawało, a ze stajni nie dochodziło poranne prychanie pary koni. W całym domu czuło się jeszcze miniony dzień. W szparach powały dosypiała wczorajsza złość listonosza skierowana na naszego psa, za znów poszarpaną nogawkę. Nad lnianą ściereczką pozostawioną na stole rozwiewało się ciche westchnienie sąsiadki, która wieczorem żaliła się na pijaństwo męża. W sieni czuło się obecność nieruchomych butów, jakby czekających na poranny ruch gospodarzy. A w kuchennym popielniku wciąż pulsował ciepłem żar rozpalany co dzień przez parę starych ludzi, którzy teraz oddychali równym rytmem leżąc obok siebie w masywnym drewnianym łóżku.

Dziadek i babcia zajmowali się mną i braćmi od śmierci mamy, która zmarła przy porodzie najmłodszego z nas. O opiece nad nami zdecydował dziadek, nawet nie pytając o zdanie naszego ojca. Nie rozumiałem czemu tak rzadko tata przyjeżdża do nas, jednak z upływem każdego kolejnego roku, i z każdą kolejną wizytą ojca, coraz mniej mi zależało na tych odwiedzinach. Owszem, imponował mi jego oficerski mundur, ale bałem

się jego gardłowego głosu, ostrego tonu i nie podobał mi się jego oddech przesiąknięty alkoholem. Ani ja, ani reszta rodzeństwa, nie chcieliśmy się do niego tulić gdy przyjeżdżał, a to sprawiało, że się złościł coraz bardziej. Im bardziej był zdenerwowany, tym głośniejsze krzyczał. A my, krok po kroku, wycofywaliśmy się za plecy dziadka. Mimo swojego wieku i różnicy postur, śmiało stał z uniesioną głową naprzeciwko swojego drżącego od gniewu syna. Nasz ojciec nie wytrzymał długo tej konfrontacji, zgrzytając zębami i trzaskając drzwiami wychodził z domu. A my oddychaliśmy z ulgą.

Spod przymkniętych powiek zacząłem w końcu dostrzegać światło różowiejące na firankach. Wdychając powietrze czułem wilgotne drobinki mgły podnoszącej się z okolicznych łąk i wpadającej do sypialni przez uchylone okno. Za szybą wzrok tonął w bieli. Jedyne co było widać, to próg naszego domu i studnię majaczącą na podwórzu. Latem w jej ocembrowanej głębinie chłodziły się butelki z piwem i lemoniadą, kamionkowe garnce z kwasem chlebowym i zsiadłym mlekiem. Za studnią ścieżka wiodąca do ogrodu całkiem rozplywała się we mgle. Musiałem zamknąć oczy, by przypomnieć sobie wygląd ścieżki.

Wąziutki brązowy pasek wydeptanej ziemi pośród traw mokrych od rosy. Zaraz za studnią bujnie rozrośnięty krzaki bzu i leszczynowe drzewka, tak hojnie obdarowujące nas orzechami każdej jesieni. Nigdy nie zbieramy ich wszystkich, bo stołuje się w leszczynowej jadalni para wiewiórek. Widok ich rudych puchatych ogonów zawsze sprowadzał uśmiech na twarze mieszkańców gospodarstwa. Sterta zeschniętych patyków pod bzami była ulubionym miejscem jednej z naszych kur – właśnie tam lubiła znosić jaja. Reszta stada karnie niosła się w kurniku, tylko ta jedna chadzała własnymi drogami. Jej donośne gdakanie, rozlegające się niemal każdego dnia, oznaczało, że znów trzeba się będzie wyprawić pod bzy, a na skórze przybędzie swędzących śladów po kontakcie z pokrzywami i mrówkami. Mimo bąbli i zadrapań chętnie wyprawiałem się w chaszczę. Lubilem czuć w dłoniach ciepło dopiero co zniesionego jaja. Podobała mi się też gładka brązowa skorupka nakrapiana gdzieniegdzie ciemnymi plamkami. Patrząc na jajko, w pełni rozumiałem dumę przebijającą

z codziennego rozgdakanego komunikatu kury. Efekt mojego zachwytu był taki, że co jakiś czas odmawiałem jedzenia jajecznicy.

Parę metrów za leszczynami rosły dwie młode lipy, zasadzone by pszczołom z pasieki ułatwić pracę. Naprzeciwko lip – stareńka jarzębina – co roku wabiąca czerwonymi koralami stada drozdów, gili i jemioluszek. Dalej, na prawo – łąka z piętrzącymi się stogami siana. Na lewo – sad z pasieką. Ule stały w pobliżu jedyne w sadzie drzewa nieowocowego – ogromnego dębu, który wyglądał jakby miał kilkaset lat. Schnące na łące siano pachniało ziołami i buchało ciepłem. Czuć je było tak mocno, że w letnie noce, gdy zapadały smoliste ciemności, a wzrok stawał się całkiem bezużyteczny, od stogu do stogu można było iść kierując się wyłącznie promieniującymi ciepłem i aromatem łąkowych ziół. Wystarczyło wyciągnąć przed siebie ręce i dać się prowadzić zmysłom. Trzeba było jednak pamiętać by stapać ostrożnie lub szurać głośno nogami, bo sad i łąkę upodobały sobie jeże. Co noc schodziły się na swoje ślimakowe uczty.

Za sadem i łąką rosła już tylko niewielka brzezina, a dalej rozlewała się szeroka rzeka pełna leniwie płynącej ciemnej wody. Dzięki brzozom mieliśmy każdego roku świeżą oskołę i gałązki do przyozdabiania ołtarzy na czas procesji zielonoświątkowych. Rzeka także przydawała się na okoliczność wspomnianych świąt – dostarczała wonnego tataraku, którym wyścielano trasę procesji. Po uroczystościach brzozowe witki zamieniały się w miotły, którymi zgarniano tatarak z ulicy. A słodki brzozowy sok, schłodzony w studni, wspaniale gasił moje pragnienie podczas wzniesienia tumanów kurzu, które nazywałem zamiataniem. Już po wszystkim szedłem nad rzekę by opłukać z siebie pył i nałapać raków na zupe. Wieczorem zaś siadywałem ze starszym bratem nad wodą. Udając, że łowimy ryby, moczyliśmy sznurki zwieszające się z leszczynowych kijów. Jedynymi dźwiękami, jakie wówczas słyszeliśmy, były ptasie trele, rechot żab i cykanie świerszczy. Układając się do snu miałem je w głowie. Zasypiałem szczęśliwy.

W gospodarstwie dziadków czas płynął powoli, a ja go nie popędzałem. Miałem go wystarczająco dużo, by zobaczyć rzeczy, których nie dostrzegali ci, którzy się spieszyli. Dzień po dniu obserwowałem, jak między brzozami wyrastał grzyb. Najpierw spod mchu wystawił malutki ciemno-pomarań-

-czowy lepek, a potem piał się w górę na coraz dłuższej białej nóżce pokrytej ciemnymi plamkami. Widziałem jak ciemnieje mu kapelusz i jak skradają się do niego ślimaki. Aby go nie zjadły, ściałem i zanosłem grzyba do domu. A potem obserwowałem jak mój kozłarz, zawieszony na nitce z innymi grzybami, wysycha i kurczy się. Nie zauważyłem tylko kiedy trafił do zupy. A może do pierogów... Kiedyś sąsiadka zbierająca w lesie grzyby obserwowała mnie przez dłuższą chwilę z oddalenia, gdy pochyłony wpatrywałem się w paprocie. W końcu podeszła, by zapytać, po co się na nie gapię, bo przecież niczego w nich nie ma. Popukała się w czoło i odeszła sarkając pod nosem, gdy powiedziałem jej, że aby coś zobaczyć trzeba długo czekać. Z oddali dobiegły mnie jej słowa – akurat się doczekam! Swojego pogrzebu chyba...

Ja jednak wiedziałem swoje. Kiedy wylegiwałem się w sady, godzinami mogłem patrzeć jak pszczoły zapylają kwiaty. Widziałem jak kwiaty zamieniają się w zawiązki, a te w soczyste jabłka. Miałem czas by patrzeć jak jeź zwinięty w kulkę ze strachu rozwija się, a potem pofukując odchodzi w swoją stronę. Ilu z was wie, w jaki sposób kochają się ptaki? Ja widziałem wróble, szpaki, bociany, jaskółki, a nawet dudki. Nie rozumiałem wtedy co robią, ale widziałem jak to robią. Raz chciałem zobaczyć jak pożywia się dzięcioł. Tak długo go śledziłem, aż wreszcie zobaczyłem jego długi jęzor, którym wyciągał z dziupli robaki. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaki jest długi! Doczekałem się, ha!

Świtało i w końcu usłyszałem skrzypnięcie podłogi, a zaraz potem ciche kroki stawiane bosymi stopami. W kuchni najpierw rozległ się plusk wody i skrobanie ostrza brzytwy o szorstki męski zarost, a za chwilę odgłos krojonego chleba. Wstałem z łóżka i podążyłem za dźwiękami. Szedłem powoli, by nie narobić hałasu, więc kiedy dotarłem do kuchni zobaczyłem już tylko męskie plecy i zarzucaną na nie białą koszulę. Biała koszula oznaczała, że będzie szedł do pasieki – zawsze ją wkładał, gdy odwiedzał swoje pszczoły. W drodze do sieni mężczyzna przegarnął dłonią siwe włosy, zdjął beret z wieszaka i za chwilę, zajądając się grubą pajdą chleba posmarowaną masłem, przysiadł na kamiennym progu domu. Jadł niespiesznie i spoglądał na podwórko. Usłyszawszy za sobą szmer obrócił się. Jego twarz rozjaśniła się, a usta ułożyły w szeroki uśmiech. – Chodźcie

jubilacie! – pamiętał o moich urodzinach! Klepiąc kilka razy próg obok siebie, dał mi znak bym z nim usiadł.

Przysiadłem obok przytulając się dyskretnie do boku dziadka. Dostałem kawałek chleba i poczułem jak obejmuje mnie męskie ramię. Dziadek wsunął palce w moją czuprynę i czule ją zmierzwił. – Pójdiesz dziś z mną do pszczół, Groszku? – Tak, tak, chodźmy już! – A już się ich nie boisz? – Nic a nic! Doskonale pamiętałem nauki przekazywane cierpliwie przez dziadka. Od niego dowiedziałem się, że pszczoły nie lubią czuć ludzkiego strachu, nie lubią ludzi złych, zdenerwowanych, przygnębionych, a furii dostają, kiedy wyczują pijanego. Jeszcze lepiej pamiętałem swoje pierwsze bliskie spotkanie z mieszkankami pasieki. Miałem sześć lat, gdy idąc między ule, całkiem sam, trząsałem się ze strachu jak osika. Koniecznie jednak chciałem dowiedzieć, że się nie boję. Skończyło się na dwudziestukilku żądłach wbitych w twarz i okolice. Sporo było płaczu. Opuchliznę zmniejszyły babcine okłady z twarogu i cebuli, a ja odtąd dziadkowych nauk słuchałem zdecydowanie uważniej.

Kolejne moje spotkania z pszczołami wypadły zdecydowanie lepiej. Pewnie również dlatego, że nie szedłem już do nich sam. Za każdym razem podchodziliśmy do uli bardzo powoli. Bez niepotrzebnej nerwowości pozwalaliśmy się poznawać nadlatującym owadom. Dziadek prowadzący mnie za rękę rozmawiał z pszczołami. Szeptał coś do nich, nie potrafiłem jednak rozróżnić żadnego słowa. Pomrukiwał coś niskim, wpadającym w basy głosem, a jego niby-słowa zlewały się w jeden dźwięk. Długo przygotowywał mnie na spotkanie. Wiedziałem, że owady będą na nas siadać, że będzie ich coraz więcej, że nie można się od nich opętać, że trzeba spokojnie i miarowo oddychać i... myśleć o kwiatach.

Wspólne wizyty w pasiece sprawiały, że chciałem tam chodzić coraz częściej. I za każdym razem miałem wrażenie, że na spotkanie z nami przylatuje coraz więcej pszczół. Nie bałem się już nawet wtedy, gdy kilkadziesiąt z nich siadało mi na rękach. Polubiłem ich delikatny, lekko laskoczący dotyk. Czulem jakby owady dopuszczały mnie do jakiejś swojej tajemnicy. Widziałem jak pszczoły siadały dziadkowi na twarzy, a on nic sobie z tego nie robił. Wydawał się nawet zadowolony. Powiedział, że i mnie



kiedyś pszczoły zaszczycą takim powitaniem, ale na to najpierw trzeba zdobyć zaufanie. – Poczekaj – mówił. – Bądź cierpliwy!

Zapomniawszy o lęku chciałem być w pasiece jak najczęściej. Miałem wrażenie, że dziadek z czasem zaczął mnie traktować jak pełnoprawnego pszczelarza. Rozmawiał ze mną poważnie i zawsze zabierał mnie ze sobą, nawet wtedy, gdy chodziliśmy po okolicy w poszukiwaniu roju, który uciekł z ula. Zwykle znajdowaliśmy go w nieodległym sąsiedztwie, na jakiejś gałęzi lub pod dachem szopy. Opowiadał mi dziadek, że takie wyrojone pszczoły są bardzo pobudzone, zdenerwowane nową dla nich sytuacją. Potrafią w obronie roju zaatakować nawet pszczelarza, którego znają. Mimo to, nigdy nie widziałem by zakładał kapelusz z siatką zabezpieczającą twarz. Z podsłuchanych sąsiedzkich rozmów wiedziałem, że większość sąsiadów podziwiał dziadka, ale było też paru, którzy uważali, że nie jest on całkiem normalny. Kuku na muniu ma z tymi pszczolami – tak mówili. On sam chyba nie bardzo się przejmował ludzką gadaniną. Robił to, co uważał za stosowne.

By sprowadzić wyrojone pszczoły do pasieki trzeba sporo cierpliwości – tak to przynajmniej wyglądało w wykonaniu mojego dziadka. Znów szedł do nich w białej koszuli, nie spieszył się. Podchodził wolno, nie reagował na pojedyncze użądlenia i mruczał te swoje pszczele mantry. Wspinał się po drabinie ku rojowi, w jednej ręce trzymając lniany worek, a w drugiej gęsie skrzydło. Strząsał sprawnym ruchem rój do worka, a pozostałe pszczoły nagarniał skrzydłem, bardzo szybko i zarazem delikatnie.

Na nową pszczelą rodzinę już czekał w pasiece pusty ul. Pszczoły trafiały na swoje miejsce, a worek i skrzydło do skrytki – szczeliny w pniu dębu stojącego pośrodku pasieki. Piorun wypalił ją dawno temu, a dziadek używał jej jako schowka na część swoich pszczelarskich akcesoriów. Szczelina była tak duża, że mieściłem się w niej cały, mimo że miałem już z półtora metra wzrostu. Po skończonej pracy siadaliśmy pod dębem i patrzyliśmy na pszczoły. Za jakiś czas pojawiała się w pasiece babcia, przynosiła nam cytrynowej lemoniady i na chwilę przysiadła się do nas. Ścisnąłem dłoń dziadka, a głowę układałem na kolanach babci. Usypiał mnie wtedy spokój i monotonne, ciche brzęczenie pracujących dookoła owadów.

Ani wiedza wyniesiona ze szkół, ani wszystkie przeczytane książki, ani prowadzone przez całe moje życie rozmowy z ludźmi, nie dały mi tyle radości, co towarzystwo i nauki przekazywane mimochodem przez dziadka Ambrożego. Słuchałem go zawsze z rozdziawioną gębą. To od niego dowiedziałem się, że pszczoły żyją bardzo krótko, miesiąc ledwie, a mimo to szybko uczą się zapachów i zwyczajów swojego pszczelarza, tak jakby przejmowały wiedzę poprzednich pokoleń wychowanych w pasiece. To od dziadka otrzymałem nakaz szanowania pszczół i pomagania im. Tłumaczył mi, że pszczoły jako jedyne zwierzęta stworzone przez Boga mają duszę, a kiedy kończą życie, to nie zdychają, lecz umierają. Jak ludzie. I jak ludzie całe życie ciężko pracują. Dziś sądzę nawet, że pracują ciężiej niż ludzie. Przynajmniej niektórzy... Przez całe swoje życie pojedyncza pszczoła przyczynia się do powstania co najwyżej kilku kropeł miodu. A my przecież mamy w domu pełne słoje tego smakołyku – ileż to ciężkiej pracy, ileż istnień tych pracowitych owadów! W mojej małej głowie kręciło się od tych wszystkich ważnych informacji. Raz po raz z podziwem spoglądałem w niebieskie, bezgranicznie mądre dziadkowe oczy.

Moje poranne siedzenie z dziadkiem na progu przedłużało się. Pewnie dlatego, że dobrze nam tam było razem. W końcu podnieśliśmy się i powoli poszliśmy do sadu. Minęliśmy studnię, bez, leszczynowe drzewka, dwie lipy i jarzębinę. W sadzie przeszliśmy obok rzędu jabłoni, potem grusz, trzech młodych drzew wiśniowych. Dziadek trzymał mnie mocno za rękę i nucił coś pod nosem. Wędrując tak w blasku słonecznego poranka miałem wrażenie, że obaj unosimy się kilkanaście centymetrów nad trawiastą ścieżką. Obaj się uśmiechaliśmy kiedy wchodziliśmy między ule. Pszczoły już ku nam leciały. Robiło się coraz jaśniej i cieplej. Tego roku początek października był wyjątkowo słoneczny, więc pszczoły mogły wciąż wyprawiać się na pobliskie wrzosowiska.

Zatrzymało nas szczekanie dobiegające od strony podwórza. Hałasował nasz Nero. To stary pies i wiele trzeba, aby skłonić go do dania głosu. Teraz nasilającemu się ujadaniu towarzyszyły jakby odgłosy kłótni. Dziadek mocniej ujął moją dłoń i chwilę nasłuchiwał. Puścił mnie, gdy rozległ się wystrzał i skowyt konającego psa. Zobaczyłem blednącą twarz dziadka,

który przykucnął przy mnie, objął mnie mocno, uściskał, a potem wepchnął w szczelinę w dębowym pniu.

– Nie bój się, będą z tobą pszczoły. One cię obronią i ukryją. Tylko nie wychodź, choćby nie wiem co się działo – powiedział. – Tylko nie wychodź! A wieczorem pobiegnij przez las do wuja Stefana.

Wcisnął mi na głowę swój beret, a do ręki niedojedzoną pajdę chleba, odwrócił się i ruszył w stronę uli. Wrócił z pszczolami, które ułożył na ziemi u wylotu dębowej szczeliny. Tysiące zdezorientowanych owadów kłębiło się wokół swojej królowej. Usiłowały zapewnić jej właściwą temperaturę i bezpieczeństwo. Były zaniepokojone i najwyraźniej, tym razem, dziadkowe pomruki nie mogły ich uspokoić. Mimo to użądliło mnie zaledwie kilka z nich. Z głębi szczeliny w pniu dostrzegłem twarz dziadka, gdy raz jeszcze do mnie zajrzał.

– Pamiętaj, nie wychodź do wieczora. I bądź cichutko, nawet jeśli ktoś będzie cię wołał po imieniu! Kocham cię! – to były ostatnie słowa jakie usłyszałem od dziadka.

Potem słyszałem już tylko odgłos biegu i otaczające mnie, wszechobecne brzęczenie pszczoł. Wzmacniał je, działający jak pudło rezonansowe, wydrażony pień.

Jakiś czas później, nie potrafię powiedzieć czy minął kwadrans, czy może godzina, do pasieki przyszli Niemcy. Słyszałem ich rozmowy i pokrzykiwania. Szukali, ale do dębu się nie zbliżali. Chyba woleli uniknąć spotkania z kłębiącymi się przy drzewie pszczolami. Wkrótce odeszli. Posłuchałem dziadka we wszystkim. Nie bałem się, wytrzymałem do wieczora, pobiegłem lasem do wuja Stefana.

Tego dnia skończyło się moje dzieciństwo. Dziś wołałbym, by wtedy skończyło się też moje życie. Przez osiemdziesiąt lat żałowałem, że w tamten październikowy dzień nie pobiegłem za dziadkiem, że nie zostałem razem z nim, z braćmi, z babcią. Każdego dnia swojego długiego życia, w każdej jego godzinie żałowałem, że nie powleczone mnie z bliskimi do więzienia, że nie wywieziono mnie razem z nimi do lasu, że nie stanąłem z nimi na krawędzi głębokiego dołu. W moje dziesiąte urodziny.

***Krzysztof Szkulatowski***

## Tajemnica wydarta grobom

- *Ja umieram!*

*Ten krzyk – a raczej wrzask – słyszała chyba cała pogrążona w grudniowym półmroku wieś Łężyce. I mimo, że Agnes walczyła o każdy oddech, nikt nie przybył jej na ratunek. Była spocona, potargane włosy kleiły się do twarzy, koszula oblepiała ciało. Wilgotnymi dłońmi szukała pomocy, ale jej palce napotykały tylko lniane prześcieradła. Szttywne, szorstkie i nie do zdarcia – rwała je z bólu jak papier.*

- *Boże, ja umieram!* – *Rzuciła się na łóżku niczym opętana.*

*Stara Drawcka, akuszerka – bo tylko akuszerka mogła coś tu zaradzić i to dlatego nikogo z sąsiadów nie wzruszyły nieludzkie krzyki – przytrzymała ją na miejscu.*

- *Nie umierasz, nie umierasz* – *odparła i stanowczym ruchem rozwarła nogi rodzącej. – Tak masz trzymać szpérë, nie kurczyć!* – *ofukała.*

- *Ja nie dam rady! Ja nie chcę!* – *Z błękitnych oczu płynęły łzy. – Gdzie jest mój mąż?!*

*Jan przez cały czas czuwał w sąsiedniej izbie i gdy tylko Agnes wymówiła jego imię, pojawił się w drzwiach. Na froncie widział tyle okropieństw, a jednak teraz jego szare oczy były ogromne ze strachu.*

- *Janek... Janek...* - *Wyciągnęła ręce do męża. A potem zawyla jak wbijana na pal, bo znów pojawiły się skurcze. Jan skulił się z przerażenia.*

- *Czego tu? To nie miejsce dla chłopów.* – *Akuszerka bez ceregieli wypchnęła mężczyznę na zewnątrz. – Na porody mu się zachciewa zdrzec, psia jego mać! Podaj mi no te szmaty, wody jej odeszły, nie widzisz?! – zawołała do Marty, swojej nastoletniej córki, która uczyła się fachu przy matce.*

*Agnes czuła, że poród ją zabije – to byłaby kara za grzech... za grzech, którego nie popełniła. Za oknem wirowały płatki śniegu, białe jak oczy śmierci. W drugiej izbie słyszała kroki Jana i jego cichą modlitwę. Czy gdyby wiedział to, co ona wiedziała, to też by się modlił? Czy czekałby na dziecko? Ona musi teraz umrzeć, bo przecież nie będzie potrafiła żyć z takim ciężarem w sercu.*

*- Przyj!!!*

*Ostatni wrzask, ostatni ból i już zobaczyła dorodne, umazane krwią i śluzem ciałko chłopca. Akuszerka owinęła go w pieluszki i podała matce. Agnes, która przed chwilą tak bała się śmierci, teraz czuła się silna i rześka. Spojrzała na synka i przez jedną krótką chwilę znów osłabła, bo malec miał oczy nie szare po ojcu i nie błękitne po matce, lecz czarne jak syberyjska noc. Nie była pewna, czy kiedykolwiek go pokocha.*

*Za to Jan był najbardziej dumnym ojcem, jaki kiedykolwiek stapał w Łęczycach.*

*- Nazwiemy go Jan!*

*Agnes powoli kiwnęła głową. Jan – po ojcu. Tylko takie imię mogło do niego pasować.*

\*

Jan Hewelt postanowił umrzeć – tak zwyczajnie i banalnie, jak postanawia się kupić serdelki. Po prostu pewnego poranka doszedł do wniosku, że nie znieśie już dłużej swojego życia. Obudził się jak zwykle w pustym domu, w tym samym, który zbudował jego ojciec w latach pięćdziesiątych i w którym mieszkał przez cały czas poza sześcioletnią przerwą na studia medyczne. Ogień w kaflowym piecu wygasł, więc w pokoju panował ziąb. Z sufitu zwisały pajęczyny – matka zwykła nazywać takie długie nitki kurzu „kawalerami”. Za oknem wstawał grudniowy poranek, a różowawy świt rozjaśniał ponure kąty.

- Dziś są moje urodziny – skontestował Jan niespodziewanie i ta myśl jeszcze bardziej utwierdziła go w przekonaniu, że czas odebrać sobie życie.

Niechętnie wysunął bosc nogi spod ciepłej koldry. Ubrał się w to, co miał pod ręką, czyli sweter i dzinsy, zestaw niezbyt świeży, bo od dwóch miesięcy nie prał swoich rzeczy. Kiedyś o czystość dbała matka, potem

żona, ale matka zmarła pięć lat temu, a żona odeszła trzy lata temu, więc teraz nie miał się kto o niego zatroszczyć. Taki był biedny. A w każdym razie tak się czuł. Jak biedne, skrzywdzone dziecko.

- Czas z tym skończyć – postanowił po raz kolejny tego dnia. Z kartonowego pudła ustawionego na meblach wygrzebał zwój kabli, na wszelki wypadek sprawdził ich wytrzymałość przez kilkakrotne szarpnięcie. Tak, kable będą zdecydowanie lepsze niż sznur.

Wciągnął buty, zarzucił na siebie płaszcz. Gdyby się ogolił i uczesał, wyglądałby całkiem przyzwoicie, bo ubrania, mimo że niezbyt świeże, były w dobrym guście. Ale nie golił się od dwóch miesięcy, czyli od czasu, gdy kierownik ośrodka zdrowia wyrzucił go z pracy. Miał już pokaźny zarost. I cuchnął wczorajszą wódką. To prawda, że gdyby nie wódka, to nie straciłby pracy. Ale też gdyby nie wódka, to już dawno nie wytrzymałby sam ze sobą.

Nie namyślając się, poszedł na cmentarz. Ale nie na cmentarz parafialny w Rumi, na którym leżeli jego rodzice: ojciec Jan, nieżyjący od 1956 roku i matka Agnieszka (czytając imię „Agnieszka” na jej grobie zawsze miał wrażenie, że to obca kobieta, bo na mamę wszyscy wołali „Agnes”). Na tamtym cmentarzu zwykle kręciło się sporo osób, nawet w taki mroźny grudniowy poranek, więc nie mógłby się w spokoju zabić. Wołał łączycki cmentarz wojenny pod lasem, daleko od drogi, ocieniony wysokimi drzewami i gęstymi krzakami. Od dziecka lubił ten cmentarz – może dlatego, że był jego „rówieśnikiem” z roku 1945. Jeśli miał się wieszać, to tylko na jednym z tamtych drzew.

- Moje życie nie ma sensu – powiedział do siebie, stając naprzeciw rzędów kamiennych nagrobków w kształcie tarcz. Bezrefleksyjnie zaczął przebiegać oczyma po płaskorzeźbach orzełków i gwiazdek.

- Moje życie nie ma sensu – powtórzył, jakby chciał się w tym upewnić.

Jak każdy w obliczu zbliżającej się śmierci, tak i Jan teraz zaczął wspominać. Od zawsze czuł, że ciąży nad nim jakieś fatum. Matka traktowała go oziębło, nie pamiętał nawet, by kiedyś go przytuliła, a ojciec był wprawdzie dobry i łagodny, ale wiecznie zapracowany. Chłopcu, tak jak każdemu synowi, zależało, by być takim jak tata i dlatego bolało go,

gdy rodzina i znajomi wciąż przyglądali się krytycznie i powtarzali jak mantrę: „Jaś nie jest ani trochę podobny do Jana”. Po śmierci męża Agnes zaczęła podupadać na zdrowiu, gospodarka się sypała, bieda zajrzała do garnka. Jaś nie miał żadnych kolegów. Całymi dniami się uczył, by wreszcie w 1965 roku dostać się do wymarzonej Akademii Medycznej w Gdańsku. Tam poznał Grażynę, dziewczynę śliczną jak z obrazka, a po trzech miesiącach znajomości Grażyna zaszła w ciążę, więc wzięli cichy ślub. Na świecie pojawiła się córka Julia, a wraz z nią nieprzespane noce, nerwowe dni, bóle głowy od ciągłego niemowlęcego płaczu, egzaminy zawalone z powodu zmęczenia, problemy finansowe z utrzymaniem rodziny... W dodatku podczas wykładu o grupach krwi Jan odkrył straszną prawdę – nie jest synem swojego ojca, bo ma grupę krwi 0, podczas gdy ojciec miał AB. Wtedy po raz pierwszy Jan sięgnął po wódkę. I po raz pierwszy podniósł rękę na żonę, a gdy uderzył raz, to kolejne razy przyszły łatwo, aż pewnego dnia po powrocie z uczelni zastał w akademiku pusty pokój. Grażyna odeszła i nie dała się przebłagać bukietem czerwonych goździków. Tego roku Jan skończył studia i dostał pracę jako lekarz internista w Wejherowie. Przeprowadził się do domu rodzinnego w Łężycach, który od śmierci matki stał pusty. Żył samotnie i pił do lustra. Gdy przyszedł do pracy tak pijany, że nie był w stanie wypisać recepty, kierownik ośrodka wyrzucił go na zbity pysk. I oto właśnie Jan obudził się w grudniowy poranek w dzień swoich trzydziestych urodzin i postanowił umrzeć.

Ale im dłużej stał na mrozie i przyglądał się pogrążonym w wiecznej ciszy mogiłom, tym bardziej nie potrafił zdecydować się, by dołączyć do poległych. Coś, choć nie wiedział co, trzymało go kurczowo przy życiu. Spojrzał na monumentalny pomnik z napisem „Chwała bohaterom 1945”. Od zakończenia wojny minęło trzydzieści lat, on też kończył trzydzieści lat. Ładny jubileusz. Nagle doszedł do wniosku, że przed śmiercią musi poznać prawdę o swoim ojcu.

- Niech ten jubileusz milowym będzie kamieniem w mojej historii – powiedział do siebie, po czym zwinął kable i opuścił cmentarz, zostawiając za sobą śmiertelną ciszę.

\*

*Przyszedł maj pachnący bzami, po nim czerwiec pachnący ziołami, a Agnes doszła do swoich sukienek pierwszą zakładkę. Wiedziała, że jeśli mąż nie wróci z wojny przez najbliższe dwa miesiące, to potem nie uda się już ukryć rosnącego brzucha. Inne dziewczyny ze wsi cieszyły się, że ich chłopci wracają żywi, a ona drżała na samą myśl przed powrotem Jana... i drżała też na myśl, że mógłby nie wrócić. Cokolwiek się wydarzy, nad nią i nad dzieckiem, które nosiła, będzie wisieć tragedia.*

*Ale wrócił. Wrócił w wigilię świętego Jana, gdy sottys Łężyc rozpałał sobótkowe ognisko na łące pod lasem. Pierwsze pary zaczęły płaść wokół ognia w rytm muzyki, a na wodzie zakotływały się pierwsze puszczone przez dziewczęta wianki. Jan stanął przed Agnes w szarawym mundurze Wehrmachtu, bez wojskowego pasa, bez Krzyża Zasługi, który przyznano mu w walce, z oderwaną belką ze stopniem gefreiter. W dodatku taki był zmieniony, wychudzony, smutny, jakby nosił na sobie wszystko to, co przeżył na niemieckim froncie. Wyglądał jak duch zza światów, grobowo poważny, podczas gdy wokoło wszyscy śmiali się, gadali i pili wódkę. Przed sześciu laty Agnes wypuściła z domu młodzieńca, a powrócił do niej starzec.*

*- Jesteś wreszcie... – szepnęła, bo nie była w stanie wykrztusić niczego więcej. Nie mogła się nawet poruszyć, by rzucić mu się w ramiona, jak przystało na stęsknioną żonę. Tylko odruchowo osłoniła brzuch dłonią.*

*Co zrobiłby, gdyby powiedziała mu prawdę?*

*Nigdy nie powie mu prawdy.*

*A potem chwyciła Jana za rękę i zaprowadziła do domu, do łóżka, tak jak to obmyśliła przez te długie trzy miesiące oczekiwania. W tym czasie mieszkańcy Łężyc zgromadzeni wokół ogniska dyskutowali o cmentarzu wojennym, na którym snem wiecznym spał ojciec jej dziecka.*

\*

Gdzie powinien udać się człowiek, który chce rozwiązać zagadkę sprzed lat? Oczywiście do proboszcza miejscowej parafii. Księgi parafialne kryją odpowiedzi na wiele pytań.

Żeby dotrzeć do kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego w Rumi, Jan musiał przejść pieszo siedem kilometrów przez zmarznięte, obsypane



świeżym śniegiem pola. Już z daleka widział masywną wieżę kościelną, odcinającą się rdzawym kolorem od nieba. Był na w pół przytomny z głodu, bo od wczoraj nie miał nic w ustach, w dodatku nie wypił ani kieliszka wódki, ale mimo to gnała go do przodu nieznaną mu dotąd siłą. Drzwi plebanii otworzyła dobrotliwa gosposia.

- Czy zastałem księdza Cybulskiego? – zapytał Jan, przybierając uprzejmy uśmiech, jaki zwykle zakładał w kontakcie z pacjentami. Nie zamierzał rozmawiać z proboszczem Styrną, bo ten rozpoczął swoją posługę dopiero trzy lata temu. Przypuszczał, że więcej informacji otrzyma raczej od byłego proboszcza, u którego matka regularnie się spowiadała.

- Proszę poczekać. Zaraz zawołam.

Po dłuższej chwili w korytarzu rozległy się niespieszne kroki i pojawił się ksiądz Cybulski. Był starszym mężczyzną o przenikliwym spojrzeniu, z którego przebijała zarówno życiowa mądrość, jak i spore zmęczenie wszystkimi sprawami parafian, które od lat dźwigał.

- Słucham cię, synu.

- Zapytam wprost – odezwał się Jan, czując, że w gardle mu zaschło, ale może była to wina dzisiejszej abstynencji. – Czy ksiądz wie, kto jest moim ojcem?

Zaległa taka cisza, że tykanie zegara nad drzwiami wyjściowymi brzmiało jak bicie dzwonów. Ksiądz Cybulski przyglądał się gościowi z niezmaconym spokojem.

- Oczywiście. To świętej pamięci Jan Hewelt – odparł wreszcie.

- Gówno prawda! – wykrzyknął mężczyzna, bo emocje wreszcie wzięły górę. – To nie jest mój biologiczny ojciec! Ksiądz musi wiedzieć, kto nim jest! Wie to ksiądz? Wie?!

Znów cisza i znów spokojna odpowiedź:

- Wiem.

Dla Jana, który spodziewał się wykrętów, to było jak uderzenie pioruna. Musiał odsunąć się o krok, by złapać oddech.

- Kto...?

- Nie mogę ci tego powiedzieć, synu. Twoja matka powiedziała o tym w konfesjonale. Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi.

- Moja matka nie żyje od pięciu lat! Tajemnica spowiedzi jej nie dotyczy.  
- Ale mnie dotyczy. Dlaczego rozgrzebujesz sprawy sprzed lat? Na co potrzebna ci ta prawda? -

- „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” – zacytował fragment Ewangelii świętego Jana. Ale na księdzu nie zrobiło to większego wrażenia.

- Przykro mi, ale ja nie mogę ci pomóc – powiedział ksiądz i odszedł bez pożegnania.

Jan zaklął szpetnie pod nosem.

Do Łęczyc wrócił autobusem. Stary Jelcz klekotał na zakrętach tak, jakby lada moment miał się rozsypać, a ten stukot i piski skutecznie uniemożliwiały Janowi myślenie. Żuł więc sznoka z glancem, jak tata nazywał drożdżówki z lukrem, i bezmyślnie przyglądał się krajobrazom za zmarzniętą szybą. Dopiero gdy wysiadł z „ogórka” na łączyckim przystanku i zaczerpnął w płuca zimnego powietrza, przyszło mu na myśl, że mógłby udać się do dawnej akuszerki. Wiedział, że gdy przychodził na świat, do matki wezwano starą Drawkę. Wzywano ją wtedy do każdego porodu w okolicy.

Stara Drawcka była wdową i mieszkała wraz ze swoją niezamężną córką Martą w małym domku pośrodku wsi. Akuszerka była największą plotkara w gminie – wiedziała wszystko o wszystkich, może to z racji zawodu, ale raczej z wrodzonego wścibstwa. Jan nigdy za nią nie przepadał. Jeszcze jako dziecko bał się tej szpetnej kobiety o krzaczastych brwiach, szarawych, potarganych włosach i kroście jak pomidor na policzku. Dzieciaki nazywały ją czarownicą.

Przez chwilę zawahał się przed zapukaniem do drzwi, ale gdy już uniósł pięść, drzwi otworzyły się niespodziewanie i stanął oko w oko ze staruchą. Przyglądała się mu ciekawie, jak wszyscy we wsi od kiedy stracił pracę. Jako lekarz był personą na świeczniku, tak jak ksiądz, nauczyciel i policjant.

- Dzień dobry. Czy mogę wejść? – zapytał, przybierając swój służbowy uśmiech. Kiedyś ten uśmiech zjednywał mu pacjentów, a nawet adoratorki, ale teraz najwidoczniej stracił na znaczeniu, bo starej akuszerce ani drgnęły usta.

- Dzeń dobri – odparła po kaszubsku, nie ruszając się z progu. – Ja już bimbra nie pędzę.

- Nie przyszedłem po bimber. – Uśmiech nieco przygasł, bo trudno się uśmiechać, gdy jednocześnie zaciska się szczęki. – Chciałem porozmawiać.

- O czym?

- O moich rodzicach.

Na brzydkiej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, ale wreszcie kobieta odsunęła się nieco, by wpuścić gościa. Jan musiał pochylić głowę, by przejść przez niskie drzwi. Znalazł się w ciemnej sieni, a potem w dusznej kuchni. Na piecu stał gar z gotującym się kapuśniakiem, a aromat warzyw, kaszy i wędzonki wypełniał powietrze. Pod oknem zielonym od pelargonii siedziała pani Marta i dziergała coś na szydełku. Była równie brzydka jak matka, ale w jej szarych oczach kryło się więcej dobra.

- O, pan doktor. Co pana do nas sprowadza? – Uśmiechnęła się przyjaźnie, a ten drobny akt życzliwości Jan przyjął z ulgą.

- On chce pogadać o Agnes i Janie Heweltach – odpowiedziała Drawcka.

- O? – zdziwiła się Marta uprzejmie.

- Czy panie pamiętają moje narodziny? – zapytał, by jak najszybciej mieć to za sobą.

- Też coś! Ja pamiętam każde jedno dziecko, które odebrałam! Każde jedno! – zachnęła się stara akuszerka, zupełnie jakby Jan zamierzał ją obrazić. – Pamiętam, że szło wtedy na noc i śnieg padał. Twoja mēmka rodziła cię pięć godzin. Gadała, żeś był wcześniakiem z siódmego miesiąca. Ale ja od razu wiedziała, że ona kłamie! Wcześniaki są malēchne, a ty miał z pięć kilo jak nic! A brzydki taki...!

- Co matka gada? Wszystkie dzieci są piękne, co jedno to ładniejsze. Pracuję jako położna w szpitalu, to wiem – wtrąciła Marta, nie przestając ani na chwilę szydełkować. – Ładny był z ciebie chłopiec, choć niepodobny ani do ojca, ani do matki, to mnie się od razu w oczy rzuciło. Takie czarne ślepia żeś miał. Jak noc.

- Ładny, nieładny, ale wcześniakiem nie był i basta! Nie mnie było się kłócić, to była sprawa Heweltów, ale we wsi każdemu gadałam, że on bękartem jest.

- Nie gadaj takich rzeczy, matka! Doktor może nie wiedzieć - młodsza kobieta spojrzała na gościa bojaźliwie.

- Doktor wie – westchnął.

Zaciekawiał obie kobiety tak bardzo, że zamilkły i wpatrzyły się w niego jak w ekran telewizora. Marta nawet na chwilę przestała szydełkować.

- Dowiedziałem się na studiach. To długa historia – wyjaśnił niechętnie. – Ale skoro ojciec nie jest moim ojcem... – roześmiał się gorzko, słysząc sam siebie – ...to kto nim może być?

- A skąd nam to wiedzieć? - Marta wzruszyła ramionami i wróciła do swojej robótki.

- Po mojemu, to on jest Feliksowym synem – powiedziała akuszerka. – To ten kuzyn Agnesy zza lasu, pamiętasz? Gruchali jak dwa gołąbki, nim Agnes poznała Hewelta. A potem zapił się na amen w czterdziestym czwartym.

- Skoro w czterdziestym czwartym, to nie mógł być ojcem – zauważyła Marta przytomnie.

- No, to ten gbur Piastowski, on też ma takie czarne oczy.

- Niemożliwe, on ma żonę i szóstkę dzieci, nigdy się za inną białką nie oglądał. Dałabym sobie rękę za niego uciąć!

- To ja już nie wiem. – Starucha machnęła ręką zniecierpliwiona.

- Coś doktorowi poradzę. – Marta spojrzała na Jana życzliwie. – Niech doktor idzie do starej Ziemanki, ona mieszkała po sąsiedzku z dziadkami doktora. Może ona wie coś więcej.

- O ile jej pamięć nie zwiedzie, bo ma już z dziewięćdziesiąt cztery lata – wtrąciła akuszerka, nie kryjąc złośliwości.

Chatka dziadków znajdowała się na samym końcu wsi. Dalej nie było już niczego, tylko bezkres pól i łąk, o tej porze zmarzniętych i odpychających. Chatka dziadków stała pusta, bo od ich śmierci nikt tu nie mieszkał. Drzwi zamknięte na skobel, jedno okno wybite, a drugie zabite deskami, zapadający się dach, przewrócony płótek, zawalone budynki gospodarcze, podwórze porośnięte zaschłymi badyłami chwastów

– dom nie sprawiał już tak gościnnego wrażenia jak przed dwiema dekadami. Pozostała pustka i szarzyzna.

Dziadkowie mieszkali daleko od głównej wsi i mieli tylko jednego sąsiada – panią Zieman, której chata stała po drugiej stronie drogi. Jan zapamiętał ją z dzieciństwa jaką miłą babuleńkę w chuście na głowie. Zawsze częstowała go domowymi „orzeciami” z marchwi i sztucznego miodu. Ostatni raz widział ją na pogrzebie dziadków, bo staruszka rzadko wychodziła z domu. Właściwie był zaskoczony, że wciąż żyła.

Tymczasem nie tylko żyła, ale nawet niewiele się zmieniła przez ostatnie dwadzieścia lat. Tylko zmarszczek na twarzy pod chustką przybyło, a sylwetka jeszcze bardziej pochylona się ku ziemi.

- Jasiek, w imię Ojca i Syna! – Przeżegnała się na jego widok. – Ty żyjesz!

No proszę, a przed chwilą to samo pomyślał o niej.

- Jeszcze żyję.

- Wejdz do środka. Opowiadaj, co u ciebie. Słyszałam, że jesteś lekarzem, jo? – Poprowadziła gościa w stronę niewielkiego pokoju, w którym od lat stały te same meble i wisiała ta sama lampa. Tylko sufit się pomarszczył, a podłoga się zapadała, zupełnie jak gospodyni.

Jan pokrótce wyjaśnił, dlaczego przyszedł. Staruszka zasępiła się nad filiżankami, które wyciągnęła z okurzonego kredensu.

- Jesteś pewien, że chcesz to wiedzieć? Takie wiadomości nieraz zabijają – mruknęła.

- Albo odradzają na nowo.

- I akurat dzisiaj? W swoje trzydzieste urodziny?

- Jubileusz, to najlepszy moment.

Pani Zieman przez chwilę w milczeniu przecierała filiżanki swoim fartuchem.

- Do dziś mam to przed oczami – zaczęła wreszcie, ni to do siebie, ni to do filiżanek. – Jak ją wyciągnął za włosy, jak rzucił ją w błoto. Błagała: „Nie! Ja mam męża!”, ale tacy jak on nie słuchają. Gwałcił ją tu, na tej drodze. – Wskazała pomarszczoną dłońią na szosę przed domem.

- Kto? – wychrypiał. Głos odmówił mu posłuszeństwa.

- Jeden z tych zwyrodniałców z armii. Jak to zobaczył jego oficer, to go na miejscu zastrzelił. Dziewięć miesięcy później urodziłeś się ty. Agnes utrzymywała, że to Janek jest twoim ojcem, ale ja wiedziałam swoje. Byłeś taki mały, czarny ruchliwy zbój, skóra zdjęta z tamtego. Ale byłeś dobry. Bo twój prawdziwy ojciec, Jan, też był dobry.

- Matka mnie nie kochała, prawda?

- Bo ja wiem? Na pewno było jej ciężko. Ale kochała cię na swój sposób.

- Nawet jeśli, to nigdy mi tego nie powiedziała. A gdzie pochowali mojego biologicznego ojca?

- Tam gdzie wszystkich poległych czerwonoarmistów i berlingowców. Na cmentarzu pod lasem, tam, gdzie są te kamienne pomniki...

- Wiem gdzie to – przerwał.

Kręciło mu się w głowie, może od mdlącego zapachu lawendy panującego w chacie, ale raczej od natłoku myśli. Przeprosił i wyszedł na zewnątrz. Słońce właśnie zachodziło, rzucając krwiste smugi na śnieg. Jan pomyślał, że staruszka miała rację. Takie informacje, jakie dziś usłyszał, naprawdę mogą zabić... albo odrodzić na nowo.

Zabić albo odrodzić na nowo.

W każdym razie z pewnością były sporym kamieniem milowym.

\*

*Jeszcze zanim do Łęczyc dotarł front i zanim rozpetęła się straszliwa bitwa o wyzwolenie Gdyni, we wsi już mówiło się o czerwonoarmistach, którzy piją na umór, kradną, co popadnie i gwałcą młode dziewczyny. To dlatego rodzice dwudziestoletniej Agnes i czternastoletniej Heli zakopali w ogrodzie ślubne obrączki swoje i starszej córki oraz wszystkie oszczędności, a dla dziewcząt przygotowali kryjówkę w szopie, dobudowując drugą ścianę tak, by pomiędzy ścianami powstał sekretny schowek.*

*Ale pewnego marcowego popołudnia, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, a matka i obie córki szykowały późny obiad, nagle dwóch pijanych szeregowców w czapkach na bakier pojawiło się na podwórzu w akompaniamencie ujadania Burka. Było już zbyt późno na ucieczkę.*

Gospodyni zdążyła tylko wydać okrzyk: *Jezus Maria!*, gdy żołnierze stanęli w progu chaty. Ich policzki były czerwone jak radziecka flaga.

- *Kakoje krasywije dziewczuszki!* – Jeden z nich wyszczerzył w uśmiechu zepsute zęby na widok Agnes i Heli. Miał oczy czarne jak syberyjska noc. Pomachał pistoletem w stronę starszej dziewczyny.

- *Wy!* – powiedział.

Agnes wypuściła z rąk dzban z maślanką. Pękł w pół, a biała piana rozbryzgata się po kuchni.

- *Nie... Proszę...* - jęknęła.

- *Wy idzietie s nami!*

- *Jezus Maria, zostawcie moje córki! Zostawcie!* – zaczęła lamentować matka.

Hela skorzystała z zamieszania i uciekła do drugiej izby, a trzask okna dał znać, że wyskoczyła na zewnątrz. Szeregowiec o czarnych oczach, sądząc pewnie, że i Agnes może za chwilę uciec, chwycił ją za włosy.

- *Wy idzietie s nami!* – powtórzył i wyciągnął ją na podwórze.

- *Nie! Błagam! Nie! Ja mam męża! Nieee...!*

Kiedy całą wieczność później w jej tragedię wdarł się głos czerwonoarmijnego dowódcy:

- *Iwan Władimirowicz!*

i gdy potem rozległ się strzał, a jej oprawca opadł na nią bezwładnie całym ciężarem martwego ciała, brudząc krwią jej sukienkę i śnieg dookoła, było już za późno na ratunek. Za późno, bo miesiąc później Agnes zrozumiała, że Iwan, którego pochowano na cmentarzu pod lasem razem z żołnierzami poległymi na froncie, zdążył dać życie jej dziecku. Iwan to po polsku Jan. I tylko ta myśl pozwoliła jej przetrwać.

Ale prawdę zamierzała zabrać ze sobą do grobu.

***Daria Kaszubowska***

## **O wielkim Świącie i o czternastu szarych braciach**

(Opowiadanie dla dzieci, dorośli też mogą poczytać.)

Wczesnowiosenny zmierzch szybko pustoszył Plac Jakuba Wejhera, zwany powszechnie Rynkiem i Bracia Rynkowi mogli zacząć swoje pogawędki. Zawsze przecież było o czym, a że robi się cieplej, że Ludzie posadzą wkrótce kwiaty, a może i sami ubiorą się bardziej kolorowo, nie tak szaro...

- Szare jest piękne – powiedział jeden z nich, a drugi dodał:

- Nie, no tak, oczywiście, przecież my jesteśmy w szarym kolorze.

- Ja lubię, jak Ludzie są kolorowi. Nasze miasto pięknieje, więc i Ludzie muszą być piękniejsi.

- Ależ ty masz dziś temat do rozmowy! – Brat szykował się już do jakiejś własnej myśli, gdy z wąskiego zaułka ulicy Północnej wyłoniła się sylwetka Brata Wałowego, poprzedzona, jak zwykle obłokiem wonnego fajkowego dymu.

Brat Wałowy, choć ani pierwszy spośród wszystkich Braci Czternastu, ani nie wybierany na jakiegось przywódcę, cieszył się wielkim szacunkiem. Szlachetne rysy jego twarzy poranej upływem czasu, powaga i rozsądek wzbudzały ten respekt. Miał niewątpliwie szlacheckie pochodzenie, zresztą krążyła wieść, że kiedyś rzeczywiście mówiono o nim „oznacza szlachcica”. Szczególnie upierał się przy tym ten z Braci Rynkowych, któremu rymowało się to określenie z jego „stolicą”.

- Witajcie Bracia – Wałowy mówił miłym, spokojnym barytonem – zaraz tu będzie jeszcze kilku naszych. O, idzie Cedronowy.



Po chwili w perspektywie ulicy Sobieskiego (zwanej przez Ludzi Deptakiem) zobaczyli Małego Parkowego. Mały nie znośli tego swojego imienia i uparcie twierdził, że nazwano go Kaszubskim – ale co było robić ze starymi nawykami? Wszyscy nazywali go Małym, bo strzegł małego parku i koniec. Teraz zatrzymał się na moment przy postaci Remusa, gdy roztańczonym krokiem przebiegł obok niego Wucekowicz. Przyhamował obok grupki Braci, aż mu zafurkotało w jego kole. Był jednym z młodszych, ale zarozumiałstwa miał za wszystkich zarozumiałców. Stojąc obok przybytku kultury i sztuki, miał się za znawcę i pierwszego eksperta w dziedzinie muzyki, malarstwa, poezji i wszelakiej wiedzy. W dodatku bez przerwy podśpiewywał coś nie bacząc, że fałszuje koszmarne.

Bracia podchodzili do tego z pobłażaniem. Postoi dłużej, zmadrzeje, a pozna ten ogrom wiedzy to i spokojnie, rozmawiali między sobą. Może jeden Cedronowy zrywał się na taką postawę, no ale on nosił i basy, i skrzypce więc słuch miał absolutny. Tymczasem zjawił się Klasztorny – jak zwykle cicho, spokojnie, zatrzymał się z boku. Tak naprawdę Klasztorny był pierwszym z Braci, ale nigdy nie rościł sobie z tego tytułu praw do jakichkolwiek zaszczytów. Dobry i serdeczny, łagodził spory, a jeśli wystąpił z jakąś radą to zawsze po długim namyśle.

- Gdzie jest reszta Braci? – zapytał któryś – nie będzie wszystkich?

- Powinien być jeszcze Cmentarny, zawiadamiałem go – powiedział Wałowy spoglądając w kierunku Kolegiaty.

- Przysnął – kpiąco mruknął Cedronowy – pewnie znów cały wieczór wzdychał i popłakiwał.

- Dobrze, że ktoś jeszcze tam, przy starym cmentarzu to robi – cicho odezwał się Klasztorny – tam jest wiele grobów, nad którymi nikt już nie płacze.

Bracia zamilkli, Cedronowy był zażenowany. Klasztorny zawsze tak potrafił z serca do serca.

- No dobrze, Bracia. Pora omówić to, dlaczego was tu zwołałem – Wałowy jednym zdaniem skupił na sobie uwagę. – Jest ważna sprawa u Ludzi i do tej sprawy my się musimy włączyć. Ludzie mają święto i sądzimy, że to coś bardzo ważnego, bo wezwali bardzo czcigodnego gościa,

którego i my czcimy i postanowiliśmy godnie go powitać w naszym mieście. Mieście, którego strzeżemy, otaczając je naszym Szarym Kręgiem. Wszak czujemy się przez to gospodarzami, czyż nie? – zakończył pytaniem.

- Powiedz wreszcie o kogo chodzi, bo się rozpęknię – ochryplym z emocji głosem odezwał się Wucekowicz.

- Zaproszono – Wałowy spotęgował napięcie – zaproszono Kamień Milowy!

- Ach, Milowy, coś takiego, ależ to zaszczyt! Kiedy przybędzie?

- Co jest, w ogóle nic nie rozumiem – do chóru poruszonych wiadomością Braci dołączył się i głos Cmentarnego.

- Uspokójcie się i wysłuchajcie mnie, bo przed nami ważne zadanie. Kamień Milowy już przybył i wypoczywa po podróży pod opieką Braci Kalwaryjskich. A uroczystość powitania go wśród nas odbędzie się w Amfiteatrze, tam Imprezowy już czyni przygotowania. Do was należy wypatrywanie gości, którzy przybędą ze wszystkich stron. Podciągnijcie pięciolinie i przygotujcie się do pieśni. A wy – zwrócił się do Rynkowych – popatrzcie na siebie i ogarnijcie się trochę – moglibyście opędać się od gołębi – zakończył z lekkim uśmiechem.

Bracia powoli rozchodzili się, Wałowy z Klasztornym rozmawiali jeszcze przez chwilę ale wreszcie i oni pożegnali się.

Kamień Milowy był wyznacznikiem ludzkich dróg. Stawiany przed setkami lat mierzył drogi na całym świecie, choć w różnych jego zakątkach inne nosił imiona. Tych milowych zostało kilka tysięcy, najstarszy liczył sobie 2300 lat i stał gdzieś w dalekiej Italii. Podobno był Milliarium Aureum – złoty – postawiony przez cesarza Oktawiana Augusta w centrum Romy tak, aby wszystkie drogi do niego wiodły.

Dziś Kamień Milowy już nie mierzył dróg. Mierzył czas. Wyznaczał wydarzenia, określał to, co człowiek wymyślił i co postanowił, że jest dobre i ważne. Kamieniem Milowym zatem mogło być koło, papier, druk ale i proch. Byłże to więc wyznacznik postępu? Znamię cywilizacji?

Tak sobie rozmyślał Kamień Milowy, podzemując w cieniu jednej z kapliczek. Bracia Kalwaryjscy trwali na swoich posterunkach. Czekali na zmierzch, początek Uroczystości.

Narzutowy z przyjacielem zwanym Diabelskim zjawili się jako pierwsi goście a będąc słusznej budowy (w zasadzie nazywano ich głazami) zajęli miejsca z boku siedzeń, by nikomu niczego nie zasłaniać. Cementarny przyprowadził dwoje gości dziwnie nieśmiałych i niepewnych, wyjaśniając, iż są to Kamienie Pokutne przybyłe z bardzo daleka i zapewniające, że ciężące na nich klątwy dawno wygasły.

- Wchodźcie, wchodźcie – Klasztorny, który wraz z Wałowym witał gości odwrócił się do grupy przybyłych, sądząc po ubytkach i porastającym ich mchu, dość wiekowych.

- Nie bardzo rozumiem, co mówią – powiedział do Wałowego – skąd jesteście?

- Goci..... nagrobne..... kręgi.... – wystękał wreszcie jeden z gromady – Odry... Odry...

- Ach, Kamienie Nagrobne Gotów! Zapraszamy! – Klasztorny gestem zaprosił przybyłych, którzy dość sprawnie wsunęli się na miejsca – Tyle lat na tej ziemi, mogli się lepiej nauczyć naszego języka – dodał gderliwie.

Drugi rząd siedzeń zajmowały już kamienie Brukowe, za nimi Budowlane Ciosane i Naturalne. Dwa Nagrobne trzymały się z boku, nie nawiązując z nikim kontaktu. W szumie wody, otrząsając się z resztek wodorostów, przytoczył się Młyński, o którym mówiono, że zaginął przed wieloma laty.

Nadeszli Bracia Parkowi. Sportowy, dumny ze swej kondycji (ćwiczył co noc na przyrządach postawionych dla Ludzi) i najmłodszy i najdrobniejszy z Braci, wesoły, miły beniaminek, ukochany wszystkich – Parkowy Muzyczny. Zameldowali gotowość do oświetlenia parku i uruchomienia fontann, gdy pomiędzy rozmawiających wpadły niewielkie przedmioty. Sportowy nachylił się i podniósł kilka okrągłych kamyków.

- To chyba otoczaki – powiedział.

- Ależ nie, ależ nie, jesteśmy Płascy – kamyki mówiły chórem, jeden przez drugiego, obracając się przy tym i podskakując – Pozdrowienia, przynosimy pozdrowienia z morza. I z jeziora, z jeziora też. To nas Ludzie szukają i rzucają i jeszcze mówią wtedy „Kaczki, Kaczki”. I my podskakujemy i znowu do wody...

- Do stu ton żwiru i cementu – zaklął szpetnie Sportowy – ktoś tu z nas za chwilę ogłuchnie. Wpuścić?

- Wpuścić – zgodnym chórem zdecydowali Bracia.

- Chwila uroczysta, ale przecież i dla takiej roztrzepotanej radości znajdzie się miejsce – dodał Klasztorny.

- Są chyba wszyscy – Wałowy rozejrzał się po wypełnionych rzędach – wszyscy, którzy zdołali dotrzeć.

- Brak tylko Filozoficznego – roześmiał się Cedronowy.

- Kamień Filozoficzny każdy musi znaleźć w sobie – sentencjonalnie odezwał się Wałowy i dodał – No, Bracia, czas zaczynać. Ustawcie się pod estradą do pieśni. Zawołam Węgielnego.

Kamień Węgielny wiedział, że jest kamieniem symbolicznym. Miał w tej chwili wygląd tuby lśniącej, złotej, nawet w nim nie było ani okrucha kamienia. Jednak reprezentował sobą tysiące lat tradycji. Wymieniany w starej księdze zwanej Biblią przez Ludzi wiele razy, był tam nawet fundamentem, na którym sam Pan Bóg ustawił Ziemię. W Księdze Psalmów był „Kamieniem dobranym i cennym”, ważnym przy budowaniu każdego domu. Osadzony w narożniku przynosił szczęście i pomyślność. I teraz, kiedy uroczyste wprowadzał na estradę i witał Kamień Milowy przywołany przez Ludzi, miał tym Ludziom też przekazać swoje przesłanie. Przesłanie szczęścia i pomyślności.

Estrada lśniła setkami drobnych światełek. To Szlachetne wydobywały ze swego zaczarowanego wnętrza blask srebrny, czerwony, szafirowy. Brzeg sceny mienił się miodowo – złotymi barwami bursztynu. Park wokół Amfiteatru błysnął światłami, poszły w przestrzeń wody fontann. Zabrzmiiała muzyka, zadrgały pięciolinie, odezwały się instrumenty wszelkie.

Prawdziwie wzruszony Kamień Milowy mówił o tym, jak wielka rodzina Kamieni zaważyła na życiu Ludzi. Jak tworząc pierwsze narzędzia Człowiek doskonalił swoje człowieczeństwo. Budował domy i świątynie, ołtarze i drogi. Tworzył rzeźby. Wspominał kamień ciśnięty z procy przez Dawida i wielokroć w kamieniu scenę tę i postać Dawida uwiecznianą. Mówił o najskromniejszych z nich – Brukowych – na których walczono, umierano i tańczono.

- To na was – mówił – wykuwano prawa, uwieczniano wydarzenia i zasługi. Czy polne, czy szlachetne - służycie człowiekowi.

Milowy nie pominął nikogo. Każdy był zauważony, każdy poczuł się ważny, każdy obiecał sobie ponieść do krewnych i znajomych wspomnienie tych pięknych słów.

- Wezwano mnie – kończył – bo Człowiek znów coś postanowił. Wierzę, że będzie to dobre i mądre. Niech będzie jak Milliarium Aureum, od którego pójdą drogi we wszystkich kierunkach tej pięknej krainy – zakończył.

Wzruszeni gospodarze i goście zegnali się i opuszczali Amfiteatr. Cicho brzmiała muzyka na pięcioliniach. Szlachetne wygaszały swoje światła, skryła się woda w fontannach.

Wstał dzień. Zapowiadał się ciepły i słoneczny, ludzie wyszli z domów, poszli na spacer. Park przywitał ich młodą zielenią, szmerem Cedronu, zapachem ziemi, spokojem.

Nad kanałem mały chłopiec zawołał:

- Tato, patrz, znalazłem płaski kamień! Puść kaczki!

Kamyk podskoczył kilka razy wzbijając wachlarzyk srebrnych kropelek i zanurzył się pod powierzchnią.

- Faaaaaaaaajnie! – syn pochwalił ojca i podbiegł, by dołączyć do reszty rodziny.

***Bogusława Zubrzycka***

## Gagoł. Początek

Pokój przenikał ziab bijący z zewnątrz przez otwarte okno. Panował nieporządek, przedmioty leżały wszędzie w bezładzie. Przeciągnięty wzdłuż białej ściany sznurek dźwigał papierowe życzenia. W tym zestawie jedynie litera igrek chyliła się wyraźnie ku dołowi, wskazując na kanapę. Marcel leniwie otworzył oczy. Przewrócił się na bok i zaczął obserwować otoczenie. Nie poznawał tego miejsca, dlatego postanowił wstać i rozejrzeć się dookoła. Szybkim ruchem odrzucił koldrę na bok i usiadł na brzegu łóżka. W tym momencie poczuł silny ból w potylicy. Pobudka była zbyt gwałtowna. Dolegliwość powoli ustępowała, ale ogólnie nie czuł się dobrze. Tym razem już powoli, wstał z łóżka, splótł dłonie i wyprostował ręce nad głową. Na tę jedną chwilę nabrał słusznego wzrostu i ziewnął.

Kilkoma krokami przemierzył odcinek od łóżka do drzwi kuchni, torując sobie drogę pomiędzy leżącymi na podłodze książkami. Zatrzymał się przed kalendarzem ściennym. Plastikowe okienko wskazywało czternasty dzień miesiąca. „Wczoraj były moje urodziny... Tylko kto przestawił datę w kalendarzu?” Marcel stanął zaskoczony w kuchennych drzwiach. Przy stole siedział nieznajomy, młody mężczyzna w czapce błazna i popijał gorący napój z kubka.

– Witaj – mężczyzna przywitał Marcela szerokim, szczerym uśmiechem.  
– Wyspany? Na pewno jesteś głodny. Usiądź, proszę.

Marcel przybliżył się do stołu, odsunął krzesło i zasiadł naprzeciwko nieznajomego. Mężczyzna gestem dłoni zaprosił niewyspanego gospodarza domu do śniadania.

– Śmiało, to dla ciebie. Smacznego.

Marcel sięgnął do talerza po kanapkę.

– Jak się tu znalazłeś? – zapytał. Przyglądał się bacznie nieznanemu energicznie przeżywając jedzenie, co jakiś czas popijając gorącą kawę. Nieznajomy odłożył pusty kubek na bok, wyprostował się i położył nogę na nogę. Jedną rękę przerzucił przez oparcie krzesła.

– Moja opowieść wiąże się z wydarzeniami z twojego wczorajszego dnia - nieznajomy wbił wzrok w stół i wolną ręką zaczął przebierać między okruszkami chleba.

– Nie zajmie ona wiele czasu – dokończył.

Marcel rozsiadł się wygodniej na krześle i jadł dalej. Człowiek siedzący przed nim usłużnie dołał mu do kawy wodę z czajnika. Gospodarz domu wsłuchiwał się w opowieść nieznanego.

Marcel lubi porządek, więc krzesła karnie stoją wsunięte pod owalnym stołem. Na ścianach nie można dostrzec nitki pajęczyny, podłoga dawno nie widziała kłęбка kurzu. Jedyne lokator mieszkania poświęca dużo czasu by podtrzymać ten stan rzeczy, dlatego teraz śpi. Ale drażniące promienie słońca na wskroś przesywiają pokój. Marcel dostrzega cząstki kurzu w powietrzu. To jest dla niego sygnał do działania. Wstaje gwałtownie, szeroko rozłożonymi rękami wita dzień. Ziewa a zaraz potem jego twarz również jaśnieje.

– Dziś są moje urodziny!

Kanapki z plastrowaną wędliną leżą na talerzu, kubek dymi czarną kawą. Kęsy za kęsami spływają do głowy myśli. „Po śniadaniu porządne zakupy. W końcu spodziewam się gości!“ Pozostają brudne naczynia do pomycia, w zlewku zauważyła te z poprzedniego dnia. Przechodzi do łazienki, myje się, zęby dostają świeżą partię pasty. Buty są głodne pasty, ale i na nie przyjdzie pora. Tymczasem wsuwają obie stopy Marcela i dostają knebel ze sznurowadeł. Mężczyzna otwiera drzwi wejściowe do mieszkania, zarzuca na siebie dres. Komórka jest, a gdzie portfel? Też jest. Leży na książkach, które również zabiera ze sobą. "Ale najpierw czas odwiedzić bibliotekę." Zamyka drzwi, przekręca klucz w zamku. Odwraca się i widzi starszego mężczyznę, który z wolna wspina się schodami do mieszkania na kolejnym piętrze. Marcel obiera kierunek w dół i wkrótce zażywa świeżego, wrześnieowego poranka.

Sunie chodnikiem wzdłuż zazielenionych posesji. Powietrze niesie turkot kosiarek, słychać uderzenia słupów wody o karoserie samochodów. Na ulicy obserwuje anonimowe postacie obciążone pękatymi siatkami, w oddali krok za krokiem, stuk za stukiem, posuwa się naprzód zgarbiony staruszek przy lasce. Szarobury blok Marcela znika za jasnym, podłużnym gmachem. Biblioteka wita gościa otwartymi drzwiami, ciemny korytarz kończy się kwadratem światła. Przy ścianie niski mebel z szufladkami zajmuje młodą kobietę, która wyciąga mu z trzewi karteczkę rewersu. Marcel staje naprzeciw wyższej instancji z czytnikiem kodów. Urządzenie we sprawnej dłoni bibliotekarki smaga czerwonym światłem kolejne przyniesione woluminy.

– Pańskie książki są przetrzymane. Będzie naliczona kara... – słyszy. „Kara, kara! Ładnie mi się dzień zaczął!...”

– Następnym razem proszę pamiętać, że może pan przedłużyć okres wypożyczenia książki przez Internet.

– Dziękuję za wyrozumiałość. Miłego dnia!

– Do widzenia.

Marcel wychodzi na zewnątrz, oślepiiony na jedną chwilę buchającym światłem dnia. Biblioteka oddala się, a jubilata wita grubaśny, czerwony owad na żółtej elewacji budynku, filuternie macha do świata czułkami i zaprasza do świątyni szczęśliwości. Marcel grzebie nerwowo w kieszeni w poszukiwaniu upragnionego żetonu. Znajduje go i natychmiast umieszcza w odpowiednim gnieździe. Metalowy koszyk uwalnia się z okowów pobratymców i daje się prowadzić człowiekowi. Koła stukocą po podłogowej kracie, Marcel wjeżdża triumfalnie do środka.

Mija ustawione równym rytmem regały pełne przemijającego dobra. Staje raz za razem, uwalnia wybrane przez siebie półki z odrobiny ciężaru. Kółczany koszyk nabiera powoli masy. Marcel dostrzega pudełko ze świeczkami. Urodzinowy gadżet dopełnia zakupów. Marcel podjeżdża pod kasę. Ustępuje miejsca niskiej, wysuszonej staruszce, która delikatną dłonią kładzie na ciemnym, poplamionym wybiegu serek topiony i chlebek razowy. Wybieg rusza, a po chwili następuje kolejna sesja smagania czerwonym światłem, tym razem w wykonaniu przepalanej lampami



kasjerki. Staruszka odchodzi spokojnie, do krawędzi wybiegu dobijają świeczki. Pracownica dyskontu podsumowuje zakupy Marcela i pyta o kupon rabatowy. Marcel z uśmiechem na ustach dziękuje i podaje jej wcześniej przygotowany bilet płatniczy. Tymczasem pod gmach nieopodal zajezdza furgon, z którego energicznie wyskakują para osobników w dżinsowych uniformach. Czupryny mężczyźni skrywają czapki z daszkiem. Obydwaj pokonują szklane wrota wejściowe, potem pochłania ich mroczny korytarz żeby po chwili wypluć przy szufladzianym meblu. Stają naprzeciw zdezorientowanej mistrzyni czerwonego lasera.

– Dzień dobry, mamy tu dziś dwa kursy do zrobienia – zaczyna pierwszy.

– Zabieramy te szafy i wnosimy nowy sprzęt – kończy drugi, wskazując kciukiem na przyparte do muru drewnopochodne konstrukcje.

Czerwony insekt wita kolejnych gości, tymczasem Marcel wyrusza w powrotną drogę. Obciążony siatkami i torbami stąpa noga za nogą, przemierza kilkadziesiąt kroków i staje, poprawiając ułożenie zakupów. Po chwili znowu jest w drodze tylko po to, by zatrzymać się przed ławką, okupowaną przez dojrzałego wiekiem czytelnika opasłego tomu. „Cholera, zapomniałem wypożyczyć książkę kucharską!“ Na szczęście jest już przed biblioteką. Wyrasta przed nim przeszkoda w postaci mebla bibliotecznego, który opornie daje się załadować do furgonu przez dwójkę dżinsowych dżentelmenów. Jubilat skręca ku wejściu i triumfalnie wkracza w szklany przedsionek. Wtem jedna noga zanurza się w przeszkodzie, wyprowadzając całą żywą i nieożywioną resztę z równowagi. Marcel gwałtownie pada do przodu, przyciągany do podłogi zgromadzonym bagażem. Pozostała w powietrzu reszta obciążenia po chwili go przykrywa. Ostatni głuchy, wrzaskliwy akcent należy do winowajcy upadku.

Marcel płaszczy się oszołomiony przed podłogą, tymczasem drzwiach pojawia się ciemny kontur, który zatrzymuje się przed bieżnikowanymi zderzakami żywego wagonu towarowego.

– Pomóc w czymś?

Oblicze pytającego jaśnieje w momencie kiedy jubilat kieruje ku niemu wzrok.

– Nie trzeba, dziękuję – jubilat odpowiada oprowadzając wzrokiem ginącego w ciemnym zaułku literatury zaopatrzeniowca z najnowszym modelem komputera osobistego.

Siedząc już całkiem stabilnie na czterech literach i oparty o dwa nożne podparcia Marcel bierze w dłonie upstrzone słojami rocznymi otwarte pudło, które najwyraźniej uronił wyprowadzony z budynku mebel. Dostrzega plakietkę z oznaczeniem „Ga-Goł”. „Aaa, to tylko szuflada z kartoteki...” Nagle organiczny przedmiot dostaje drgawek, a po chwili miotają nim konwulsje. Wypływa zeń słup wirującego powietrza niczym tornado wstrząsające okolicą. W przerażonych oczach Marcela słup przyobleka się w ludzkie kształty. Nowo przybyły po chwili twardo staje na podłodze, wydając przy tym dźwięk pękającego balona.

– Kim jesteś? – reaguje Marcel.

– Jestem Gagoł, duch tej biblioteki. Potrzebuję nowego gospodarza – postać w czapce błazna przedstawia się. Rogi czapki wieńczą kolejne litery alfabetu. Jego fizyczność dopełnia bluza dresowa z kapturem, spodnie do kolan i glanowate buty opasane grubymi pętami.

– Gospodarza? Nie rozumiem...

– Nieważne. Czy jest jakiś problem? – Gagoł wskazuje na nieporządek wokół Marcela.

– Eee... – niewyraźna odpowiedź dostojnego jubilata zachęca Gagoła do sięgnięcia po porozrzucane produkty. Sięga na tyle skutecznie, że po chwili wydostaje się na zewnątrz oblepiony szczelnie biedronkowymi specjalami. Pewnym krokiem kieruje się w stronę blokowisk. Za nim wpada na chodnik Marcel, wyciągając rozpaczliwie do przodu rękę.

– Zaczekaj!

– Zamiast krzyczeć, lepiej pokaż drogę do domu.

Gagoł nie przerywa marszu, zza jego pleców co i rusz widać jubilata.

– Resztę zakupów zrobimy tuż za rogiem.

Nie mija kwadrans, kiedy Gagoł staje przed drzwiami mieszkania Marcela, bogatszy o następne sklepowe okazje. Jubilat nie widzi potrzeby pośpiechu, zrezygnowany nieco wchodzi dostojnie na płaskowyż piętra. Sprawnym gestem przenosi zakupiony ciężar z ręki do ręki, uwolniona

dłoń zagłębia się w trzewia kieszeni, wyciąga z niej błyskotliwy klucz, który wkrótce łąduje w zamku.

– Przytulne to mieszkanko, chociaż niewielkie. Z jakiej okazji te duże zakupy? – Gagoł wchodzi do kuchni, gdzie na stole, do skromnego zakupu Marcela, dorzuca doniesione aż tutaj siaty, siateczki i woreczki.

– Mam dziś urodziny, spodziewam się gości – odpowiada Marcel nie bez nutki dumy.

Gagoł dopada Marcela, nie dając mu wykonać żadnego ruchu rękoma.

– Wszystkiego dobrego! Trzeba przygotować przyjęcie urodzinowe! – podanie ręki dopełnia życzeń.

Gagoł odstępuje na krok od gospodarza domu, chwytając się jednorącz za brodę. Obmyśla plan działania.

– Podzielmy się robotą. Zajmij się pokojem na przyjęcie gości, a ja przygotuję jedzenie – człowiek w czapce błazna przystąpił bliżej do stołu, dopadł jedną z siatek i dosięgnął wzrokiem jej wnętrza. – Co my tu mamy? Ciasto, wędliny, alkohol...

Z kuchni dobiegają apetyczne odgłosy siekania, duszenia, pieczenia, polewania płynami. Gotuje się przyjemny kulinarny wieczór. W dziennym pokoju, wspięty na palcach stóp, stoi Marcel na krześlanym tronie. Z trudem sięga rozpiętej tuż nad sufitem linii sznurka i mocuje do niej pękate balony, kolor za kolorem.

– Długo tu mieszkasz? – zapytuje samozwańczy kuchta, nie przerywając znużonej pracy.

– Wprowadziłem się pół roku temu.

– Sąsiadów masz w porządku?

– Przeważnie są to emeryci. Czasami robię im zakupy, więc chyba mnie lubią. – Marcel odpowiada, kładąc na sztywnym obrusie zastawę stołową.

Mijają kolejne minuty. Jubilat dołącza w kuchni do Gagoła, gdzie razem kończą kulinarne dzieła. Wreszcie znoszą do ustrojonego świątecznie pomieszczenia pierwsze efekty swojej pracy – skromny koszyk z pieczywem, sałatki na zimno. Gagoł dokłada jeszcze butelkę korkowanego napoju.

– To na razie wszystko, reszta specjalów jeszcze dusi się i piecze.

Nagle od strony drzwi wejściowych dobiega melodyjny, choć wcale pospolity dźwięk.

– DING! DONG!...

– Oho, już są goście!

Gagoł od nasłuchiwania przechodzi kilkoma susami pod wejście do mieszkania i chwytą za pokrętło zamka. Dobiega do niego gospodarz domu.

– Jak im wytłumaczyć twoją obecność?

– Nie martw się.

Gagoł pewnym ruchem otwiera podwoje mieszkania. Na opuszczonym przez światło lamp korytarzu daje się dostrzec sylwetki trzech postaci.

– Witamy i zapraszamy – postać w błaznowatej czapce szlachetnym gestem dłoni zaprasza gości do środka.

Sylwetki postaci nabierają dostrzegalnych szczegółów. Przed wysokim, łysym mężczyzną w kraciastej koszuli stoją dwie kobiety. Starsza wyglądem okularnica przyozdabia się wytwornym szalem. Obok niej, młodsza, gustuje najwyraźniej w czerni – czarne włosy zaciągnięte czarną przepaską, czarna wstążka na szyi, czernią przysłonięty dekolt, do samej podłogi reszta czerni. Cała trójka, osłupiała na niespodziewany widok Gagoła, jeszcze przed chwilą gotowa była wręczyć jubilatowi prezenty, które trzyma w ściśniętych dłońmi kolorowych pudłach. Marcel podchodzi uśmiechnięty do drzwi i wydobywa ich z tego stanu. Dostaje do rąk pierwszy prezent.

– Eee... Wszystkiego dobrego. Zdrówka przede wszystkim! – przeszkłone uśmiechnięte oczy wyrażają szczerą zyczeń wypowiedzianych wypomadowanymi ustami.

– Wszystkiego dobrego! – czarnulka czule obejmuje oburącz Marcela, drugi prezent wędruje w zastępstwie jubilata do Gagoła.

– Zdrówka! – gospodarz domu odczuwa solidny uścisk dłoni łysego olbrzymka. Marcel stoi chwilę oszołomiony siłą gestu gościa, który podaje ostatni prezent Gagołowi.

Wszyscy obecni w mieszkaniu zasiadają przy urodzinowym stole. Padają nieśmiało spojrzenia raz to na sąsiada obok raz to na przygotowane wcześniej specjały. Domorosły kucharz odwraca się w kierunku młodej czarnuli.

– Może rybki albo sałatki?

Czarnowłosa wskazuje dłonią na rybnie mięso zalane półprzezroczystą, galaretowatą masą. Gagoł pozbawia na chwilę młodego gościa talerza, by za chwilę zwrócić mu naczynie pełne pożywnego, morskiego białka. Dojrzała kobieta starannie przeżuwa kolejne składniki sałatki warzywnej, jednocześnie skupiając wzrok na gospodarzu domu.

– Bardzo smaczna sałatka. Kto ją przyrządził? Ty, Marcelu?

Jubilat nieco zaskoczony pytaniem waha się nad odpowiedzią. Wreszcie wydaje z siebie pierwsze dźwięki.

– Eee... Przyrządził je Gagoł, mój kuzyn.

Kobieta opiera łokciami obie ręce na krawędzi stołu, splata palce dłoni tuż pod brodą.

– Wyśmienite. Czym się zajmujesz, Gagole?

– Gustuję w literaturze.

– Dobrze się składa. Marcelu, rozpakuj prezenty – kobieta kończy swoją kwestię.

Gospodarz domu opuszcza zastawiony stół i podchodzi do stolika, na którym czekają na odarcie z papierowej otuliny urodzinowe podarki. Goście z Gagołem na czele obserwują Marcela, który kolejnymi, zdecydowanymi ruchami rąk stopniowo odsłania podarowane mu przedmioty. Wreszcie światło dzienne ogląda pierwszy z nich.

– Książka! – jubilat triumfalnym gestem podnosi w górę wolumin. W ciągu paru chwil kolejne tomy literatury cieszą oczy wszystkich w pokoju.

– Poznajmy ich treść! – trójka gości najwyraźniej wyczekuje literackiego podwieczorka.

Pomieszczenie tonie w półmroku. Mężczyzna i czarnowłosa młódka zajmują miejsce na podłodze obok napoczętej butelki czerwonego wina. Marcel ustępuje miejsca Gagołowi, który bierze do ręki pachnące jeszcze

farbą drukarską tomisko. Sam zajmuje miejsce na krześle blisko dojrzałej okularnicy. Gagoł zapala punktowe światło lampy podłogowej i rozpoczyna lekturę na głos.

Rozsmakowane w literaturze towarzystwo sięga co kilkaset linii tekstu po lampkę alkoholu. Postać w czapce błazna niknie za coraz wyższym, książkowym murem. Stopniowo pojawia się więcej punktowych światel. Łysy jegomość z niekłamanym wysiłkiem unosi jednorącz w powietrzu egzemplarz powieści. Czytanie jest dla mężczyzny, któremu wszystko przychodzi bez trudu? Okularnica rozchyła palcami dłoni karty tomiku poezji. Czytanie jest dla kobiety, które jeszcze nie wie, czego chce, ale się wkrótce dowie. Młoda, odziana w czern adeptka literatury, skulona na krześle śledzi losy ulubionych bohaterów. Czytanie czyli wszystko, co chcielibyście wiedzieć, ale baliście się...

– I co było dalej? – zapytał Marcel.

– Pamiętam tylko, że część książek twoi znajomi wzięli ze sobą. – gospodarz domu zmarkotniał. – Ale nie martw się, na pewno je oddadzą. – dokończył Gagoł.

– A co będzie z tobą? – gospodarz domu ciągnął dalej.

Gagoł nie krył swojego zadowolenia.

– Najwyraźniej duch biblioteki odradza się tam, gdzie kwitnie czytelnictwo.

Postać w błazeńskiej czapce opuściła kuchnię. Z pokoju dały się słyszeć odgłosy zbieranych w jedno miejsce pustych butelek, echa kładzionych jedna na drugą książek. Marcel nie czekał długo. Dołączył do robienia porządków. Gagoł snuł opowieści zaczytane w ciągu wielu lat zasiedlenia gmachu biblioteki. Nie zdążył dokończyć. Wczorajszy jubilat poczuł się zmęczony, ale postanowił odzyskać siły w ruchu. Wdział na siebie dres i wygodne, sportowe buty. Parę minut później w drzwiach wejściowych klatki schodowej pojawiły się dwie męskie postaci, które truchtem zaczęły przemierzać chodniki wzdłuż fasad blokowisk. Dzielnica wydawała się być taka jak zawsze, jednak teraz poznawała nowego mieszkańca.

***Tomasz Mering***

## **kolejna rocznica wiosny**

kolejna rocznica wiosny  
pamiętasz pierwszy raz  
jak polizales krople na moich powiekach  
widziały nas kwiaty  
i oszklony nocnym cieniem  
księżyc w skorupce  
wyłowiles dla mnie żółwie  
spod tafli jeziora  
chciales mi dać ramiona  
i bałam się przyjąć  
dłonie mi drżały jak trawa  
spłoszone świadectwem światel  
czasami usiadles obok  
mówiac o ludzkich kryształach  
robiles takie zakłęcie miłosne  
chwytając kolory w oczach  
dojrzewalismsy wzajemnie  
nawet w przymrozkach  
zimnych pod skórka oceanu  
i wtedy pan słońce  
zapachniał pomarańcza

***Hanna Makurat***

## szczęście

na księżycu czerwonym miłością  
zasadziłeś chmury w futerkach  
jak anioły w grudniu  
zapuszczone w niebie ciepłym  
było szczęście tak mocne  
że szczypało po kostkach  
zobaczyłam świerszcza  
w koszyku  
zapachniało rzeką  
Obiecanej Ziemi  
wiem kiedyś ją widziałam  
w kroplach snu  
w gwiazdach  
zamknięci  
czołgamy się w szczęściu  
po zaplecionych liniach kwiatów

*Hanna Makurat*



## **siostrze**

*(\*Agatce w rocznicę siostrzanej miłości)*

poezją chcę utkać  
dla ciebie sukienkę  
anielsko-szklaną jak witraże  
malowaną we wszystkie baśnie  
tysiąca i jednej nocy  
będziemy pędzić w słońce  
jak małe dziewczynki  
wsluchane w czystość chmur  
będziemy się chować pod łóżko  
i tam myć zęby owocową pastą  
ściskać w rękach żuki  
i skakać z radości jak trawiaste zające  
w nocnych kołyskach  
opowiadać o elfach amatorach  
i drugich siostrzanych sprawach  
wyjadać razem polne maki  
i białość matczyne mleka  
kocham tę przenikliwość  
siostrzanej skroni  
ona mądra jak anioł  
jak anielska madonna  
zawsze odgadnie serce siostry

***Hanna Makurat***

## **„Niech ten jubileusz milowym będzie kamieniem...”**

człowiek idzie drogą  
wyznacza kierunek  
czas  
miejsce  
przestrzeń

człowiek odkrywa  
tajemnice Wszech(Świata)  
snuje marzenia  
odczarowuje czas  
zaklęty w kamieniu

człowiek  
fundament świata  
dziś celebrytuje  
kolejną rocznicę  
Pokoju ...

***Bogumiła Mielewczyk***

\* \* \*

pod chryzolitowym niebem  
budzimy się – istniejemy...

chcemy odmieniać los  
lecz tylko  
rozsypujemy  
się na milion kawałków  
zanurzamy się w czasie  
żyjemy s(n)ami  
szukając w ludziach krajobrazów  
niedostrzeżonych  
przez nikogo nieoglądanej  
prawdy  
//pomiędzy zwierciadłami//  
I tylko jubileusze  
erraty  
naszego życia  
milowe  
kamienie ...

*Bogumiła Mielewczyk*

\* \* \*

Dzisiaj dzień  
najpiękniejszych wzruszeń,  
bukietów pełnych słońca,  
chwil przecudownych  
zamkniętych w naszych  
pamięciach pajęczych,  
dłoni życzliwych,  
życzeń radosnych,  
kapeli co gra ulubione kawałki.

Dzisiaj myśl o przemijaniu  
odganiana wznoszeniem toastu,  
wspominamy otwierając albumy  
naszej wspólnej historii,  
pamiętamy o skazańcach.

Dzisiaj świętujemy  
pamiętając nadać istnieniu  
właściwy kierunek przyszłości.

***Bogumiła Mielewczyk***

## **liberał i niewolnik**

w poszukiwaniu wolności  
dowiedziałem się  
że prawda nas wyzwoli  
zacząłem szukać  
chcąc znaleźć  
wróciłem do źródła  
dotarłem do Abrahama  
przodka Chrystusa i Mahometa  
szczepów rozmaitych winorośli  
z których co jeden to wytrawniejszy  
nie chcąc pobłądzić  
w Słowa interpretacji  
zacząłem pytać o podatki  
lokalne i w państwach wysokorozwiniętych  
przeliczałem kursy walut w kantorach  
obserwowałem niestabilność indeksów giełdowych  
sprawdzałem cenę warzyw na bazarach  
irytowałem się brakiem stałej wartości produktów w marketach  
dziwiłem się że za jednakową pracę nie płacono tej samej stawki  
chleb powszedni nigdzie nie zgadzał się co do grosza  
zważyłem  
odszedłem bogaty  
w wiedzę  
że prawdą jest brak prawdy

*Andrzej Waszkiewicz*

## *nic*

jest noworodek  
potem nieboszczyk  
i drzewo okazałe  
z gęstą siecią słoików  
przywdziewające nowe szaty  
zgodnie z porami roku  
i ulica arteria miasta  
przekształcana przez industrialny rozkwit  
wszystko przemija w czasie który nie zmienia nic  
jest rok miesiąc doba godzina minuta sekunda  
sekundę można podzielić na mikro części  
i w końcu  
jest taka jednostka  
w czasie której nie zaistnieje nic  
nawet myśl  
suma jednostek daje nic  
wszystko wokół  
to nic  
to teraz  
co trwa wiecznie

i nie zmienia się  
bo nigdy nie zaistniało

*Andrzej Waszkiewicz*

## przeszła terażniejszość

miasteczko  
pośród kaszubskich skarbów natury  
dom  
pośród uliczek blisko centrum  
ja  
pośród rówieśników dorastający młodzieniec  
pragnący uwolnić myśli  
od peerelowskiej kuźni  
od rzeczywistości nadgryzionej wpływem planów wieloletnich  
które zostawiały ślady na odpadających elewacjach  
niedaleko trzy przecznice dalej  
stawiałem kroki na rozstajach polnych dróg  
- unosząc pył wznoszący się na wysokość otartych kolan –  
stał przy nich krzyż niczym słup graniczny  
pola pachniały wolnością dojrzewających zbóż  
ptaki czułym tonem witały na dziewiczym łonie  
ścieżki prowadziły do zielonych lasów enklawy snów  
skrywających jeziora studnie dla spragnionych dusz  
kreśliłem plany  
budowałem przyszłość bez skazy  
obcą zamiarom konstruktorów wizji  
wdzierających się na teren świata nastolatka  
prezentowanych w programach telewizji

dziś  
pośród ulic z rzędami kolorowych domów  
z pomocą nawigacji  
krążę w poszukiwaniu duktów polnych  
prowadzących do krzyża  
otwierającego malowniczą przestrzeń  
której nie odnajdę  
błądzą  
pośród pytań  
o czas teraźniejszy  
czy zawsze pożera  
czas przeszły

*Andrzej Waszkiewicz*



## Jubilat prosi o szklanę coli

Godzina szósta wybiła.  
Nie słyszy się dzwona.  
Jeden popija trunek-lekarstwo  
Na strzępy ran z młodych lat.  
Drugi to coś trzyma - jakiś kij  
Miotłę do swojej piersi przytula.  
Nikt nic nie mówi. To nie mowa.  
Krzyki, wołania, gwizdy.  
Zaczynają się szturmowania.  
Toast wznoszą kolejno:  
Ryczą, pogwizdują,  
Męczą sąsiada ucho.  
Jednogłośnie się zgadzając:  
Sto lat jubilatowi życząc.  
Pod krzesłami, pod stołami,  
Gromada karłów toczy złoto.  
I już ci mieli w suche dna polewać.  
Nagły pisk, ciężki grzmot, słaby jęk.  
Powstał z półświatka jubilat-widz.  
Wskazał palcem na dzban czarny.  
Do kieliszka kazał prędko polać.  
Nie śmieli pytać co chce mówić.  
Jaki znak odczytać z mowy ciała.

Nikt nie pisał słowa. Cisza nastała.  
Zebrali się młodzi, starzy i koty.  
Zrozumieli. Nie gardzili, nie stękali.  
Wzięli, w kieszenie, w torby upchali.

Pożegnali jednym skłonem, bez ironii.  
Pokuścili do drzwi swoich, i zniknęli.

*Patrycja Pionke*

## **Kiedy mi odpowiesz**

Kiedy mi odpowiesz  
wtedy zaszumią strzeliście lasy  
nurt rzeki Cedronu  
stanie w bezruchu  
i ziemia zrozumie aż do dna  
każdy ruch starego korzenia

zazielenią się te suche liście  
w parku miejskim z dzieciństwa  
do którego zgubiliśmy drogę  
odchodząc przed wielu laty

*Patrycja Pionke*

## Milliarium

Kolejna tablica informująca o dystansie, który czeka cię na szlaku.  
Teraz jestem sobą i tobą w trójwymiarze, uważnie słuchaj słów moich:  
Cel już niedaleko, myśli ulotne wciąż zbieram i pytam gdzie jestem?  
Jestem. Tutaj. Po prostu jestem. A może już mnie nie ma. Zginęłam.

Dookoła cisza. Tylko pustynny krajobraz, krzewy i strzeliste szczyty.  
Nigdy nie poznałabym się na takich widokach. Teraz widzę i wzdycham.  
Piszę swoją historię od nowa, dla ciebie, a może już cię ze mną nie ma.  
Jest we mnie czarna otchłań, pożera wszystko czego dotknę, na co spojrzę.

Teraz wiem dlaczego nie ma ciebie tutaj ze mną, pożarła cię bez słowa.  
Umarłam. W środku znajduję się dziesięcioletnia dziewczynka. Smutna.  
Już wtedy pogubiłam się w życiu, nadal prawdy od kłamstw nie odróżniam.

Trzęsę się, dostaje drgawek i tego zimnego, lepkiego potu, ale to nie choroba.

Ja tęsknię. Tak, tęsknie. Za tobą. Proszę, naucz mnie życia, naucz mnie kochać.

Nie zostawiaj przy stoliku samej, z ciepłym śniadaniem. Nie odchodź.  
Nie teraz.

Nie otwieraj drzwi, nie zabieraj kurtki, nie przekręcaj cholernego klucza w zamku.

Ten poranek. Te głuche bicie zegara. Cały świat widziany przez dziurkę od klucza.

Przedemną dwadzieścia mil drogi, nie wiem czy jestem gotowa na to spotkanie.

Nie będę już bardziej pewna. Nie będę już bardziej wątpiła w rację powrotu. Nie.

Dom spłonął - pochłonał dziesięć lat życia. Nie ma odwrotu. Góry nadal się wznoszą.

Podnoszę swój ciężar, na wytężone chodem plecy. Dźwigam całą swoją opowieść.

...Dziesiątki pustych, pożółkłych kartek, fotografie bez wyrazu twarzy z dzieciństwa.

Na jednej z nich widnieje pamiętliwe zdanie wycięte z powieści, którą miś czytał:

"I kolorami kłamstw, którymi się karmi, powiewem weny, którym się poi."

Poczułam ulgę, lekki wiatr schłodził moje rozpalone ramiona. Słyszę szum morza.

***Patrycja Pionke***

\* \* \*

*Zakazane, niedopuszczalne, nienormalne. Uczucie zrodzone ze strachu, troski i poczucia odpowiedzialności. Powszechnie nieakceptowane, bo wbrew wszystkiemu, w co wierzą ludzie. Nikt nie zastanawia się jak do tego doszło. Wszyscy jedynie potępiają, bo w tym są doskonali. Ślepi na krzywdę, gotowi stłamsić z byle powodu. Do czego gotów jest brat, by zapewnić bezpieczeństwo młodszej siostrze? Ja wiem. Do wszystkiego. A jeśli to wymknie się spod kontroli? Kiedy miłość zmieni znaczenie? Ja wiem. I opowiem Ci o tym, jeśli chcesz. Jestem Louis. Kocham moją siostrę w każdym tego słowa znaczeniu. Oto moja przeplatana wspomnieniami - historia.*

## I

Stoję pod prysznicem i moje ciało jest czerwone i podrażnione od ciągłego szorowania, ale nie mogę przestać, kieruje mną czyste obrzydzenie. I nieważne, że tylko dodaje sobie bólu, pocierając – i tak już zbite pasem – pośladki. Im bardziej cierpię, tym mniej myślę o tym, jak nisko upadłem. Jednak do mojego umysłu wkradają się wspomnienia. Wspomnienia pierwszego razu, kiedy zostałem potraktowany tak, jak dzisiaj.

### 2 maja 2001 r.

*Jak zwykle wróciłem ze szkoły niemal w podskokach, bo udało mi się zdobyć dzisiaj szóstkę z tabliczki mnożenia i chciałem jak najszybciej pochwalić się mojej mamusi, na pewno byłaby ze mnie dumna. Niestety mamusi nie było, pracowała. Cicho przeszedłem przez salon, w którym tatuś spał w fotelu przed telewizorem. Postanowiłem go nie denerwować, tylko cichutko zająć się swoim zadaniem domowym. Matematyka poszła mi szybko, kilka działań, a przecież tabliczkę mnożenia umiem, więc nie miałem z tym żadnego problemu. Nie miałem czasu, by pomyśleć o tym, co*

teraz będę robił, bo z mojego biurka spadła lampa. Nie wiem, jak to się stało, po prostu chciałem włożyć piórnik do plecaka i - och! Musiałem zahaczyć o lampę. Niedobrze.

- Louis!

Bardzo niedobrze. Obudziłem tatusia.

- Ty pieprzony bachorze, coś ty znowu narobił?!

- Przepraszam!

To jedyne, co mogłem z siebie wykrztusić, gdy pojawił się w moim pokoju. Miał czerwone policzki. Spuściłem wzrok i zobaczyłem kawałki szkła. Lampa się stłukła.

- Wiesz, ile ona kosztowała?! Twoja matka ciężko pracuje, żebyś miał, co jeść, a ty wciąż tylko wszystko niszczysz!

- Tatusiowie moich kolegów pracują, ty też byś mógł...

To był błąd. Tatuś nie lubi, gdy ktoś wypomina mu, że tylko mama pracuje. Zrozumiałem to dopiero, gdy wyciągnął skórzany pas ze szlufek spodni.

- Przepraszam... tatusiu, przepraszam...

Mieszkałem w tym pokoju od kiedy pamiętam, ale i tym razem ściana mnie zaskoczyła. Cofnąłem się zaledwie o dwa kroki, a już na nią wpadłem. Nie było drogi ucieczki.

- Oduczę cię takich tekstów, przebrzydły szczeniaku.

- Ale...

Usilnie starałem się przypomnieć sobie jakiegokolwiek miłe wspomnienie, kiedy przełożył mnie przez kolano i ściągnął mi spodni z majtkami. To nic nie dało, nagle w mojej głowie nastąpiła pustka. Nie zdołałem powstrzymać głośnego krzyku, gdy poczułem pierwsze uderzenie, było za mocne. Oczywiście na jednym się nie skończyło i już przy drugim zacząłem płakać. Po kilkunastu kolejnych zdarłem sobie głos, a tata przestał dopiero, kiedy z sąsiedniego pokoju rozbrzmiał płacz Ellie. Zrzucił mnie z kolan, pozwalając, bym upadł bezwładnie na podłogę i wolnym krokiem ruszył w kierunku mojej siostry. W mojej głowie przewijały się tylko sceny

*z ostatnich minut, przeżywałem to od nowa i wciąż czułem bolesne uderzenia pasa o moją wrażliwą skórę. Nawet nie chciałem spojrzeć w lustro. Po prostu wstałem, otarłem łzy z policzków i podciągnąłem majtki i spodenki, a potem powoli wyszedłem z pokoju. Strasznie piekło przy każdym kroku. Ale jestem dzielnym chłopcem, poradzę sobie. Powtarzając wciąż te słowa w myślach, wsunąłem głowę w szparę niedomkniętych drzwi i obserwowałem. Tata stał przy łóżeczku Ellie, ona tak strasznie płakała, a on nic nie zrobił, tylko na nią patrzył. W jego oczach lśniło coś dziwnego, kiedy oblizywał dolną wargę.*

*- Już niedługo się zabawimy, maleńka.*

Pluję sobie w twarz za każdym razem, gdy oczami wyobraźni wracam do tego dnia. Wzdycham, ocieram ukradkiem pojedynczą łzę i mokry kładę się do łóżka. Ella jest u koleżanki. Moja mała dziewczynka weszła właśnie w trudny wiek dojrzewania i chociaż ma pewne problemy z dostosowaniem się do dzisiejszych zasad rządzących wśród nastolatków, radzi sobie całkiem nieźle. Niestety potrzebuje do tego markowych ubrań i najnowszego sprzętu, a ja nie potrafię jej odmówić. I tutaj pojawia się problem, bo moja skromna pensja piekarza - ba!, nawet spora pensja tancerza - nie jest wystarczająca na równoczesne utrzymywanie mieszkania, samochodu i rozpieszczanie mojej siostrzyczki. Dlatego też znowu zostałem zmuszony do odłożenia myśli o studiach; nie mam czasu na naukę, za którą nie dostanę wypłaty co miesiąc. Oczywiście wspomnienia nie dają mi spać. Zamiast odpocząć po ciężkim dniu, myślę. Gdybym wtedy wiedział, jak określić spojrzenie, jakie zauważyłem tamtego dnia u kogoś, kogo nazywałem ojcem...

## II

Nie należę do osób aktywnych fizycznie. Jestem znany z omijania szerokim łukiem wszelkich form ruchu. Nawet piłka nożna leżąca w kącie mojego pokoju jakoś nie wabi mnie syrenim śpiewem. Po ukończeniu 16. roku życia, kiedy Roxie zatrudniła mnie w swojej piekarni i zacząłem dorabiać jako tancerz na rurze w nocnym klubie uznałem, że czas skończyć dziecinne wybryki i zapewnić ukochanej siostrze odpowiednie warunki do

życia. Jak znaleźć czas na bezsensowne bieganie za piłką, pracując 8 godzin dziennie w piekarni i wyginając ciało dla napalonych zбочeńców przez kolejne trzy, a czasem dłużej? I tak już zaniedbuję 6. letnią szatynkę, jedną z dwóch najważniejszych osób w moim życiu. Często musi pozostawać pod opieką sąsiadki. Złota kobieta.

Jednak teraz nie mogę spać, więc podnoszę się, całuję czoło śpiącej królowny i opuszczam ciepło, jakie oferuje mi moje łóżko, kierując się wolno do korytarza. Tam zakładam sportowe obuwie i bordową beanie, potem wychodzę i świat zdaje się tym nie przejmować, nadal pogrążony w mroku, a latarnie wzdłuż ulicy wskazują mi drogę. I to jest w porządku, hydranty i skrzynki na listy nie wyśmiewają moich skarpetek założonych na nogawki spodni i bluzy z dinozaurom na klatce piersiowej. Jestem tylko ja i cicha noc, dająca mi niemą przysięgę, że zachowa moje sekrety dla siebie. Nie rozgrzewam się, po prostu biegnę przed siebie, gdzie poniesie mnie sztuczne światło nad moją głową. Nic nie mówię, bo nie muszę. Nie muszę się tłumaczyć, nie muszę odpowiadać na dziwne pytania, nie muszę pilnować każdego słowa, które opuszcza moje usta, nie muszę...

Jestem wolny.

Biegnę, nim złapie mnie szara codzienność, poczucie winy, wyrzuty sumienia, wspomnienia; wszystko, co niesie za sobą ból. Biegnę, chcąc odrzucić całe zło wkradające się podstępnie do duszy, zatruwające każdy jej milimetr. To wychodzi ze mnie pod postacią słonych łez i zatrzymuję się, bo już nic nie widzę. Pochylam się, opieram dłonie na kolanach i poddaję się temu. Boli tak bardzo, że chcę krzyczeć, ale tylko wbijam paznokcie w uda. Chcę krzyczeć, tak bardzo chcę. O wszystkim. O tym, że nienawidzę własnego ciała, które codziennie oddaję w posiadanie obcym mężczyznom.

O tym, że potrzebuję pomocy. O tym, że kocham miłością zakazaną. O tym, że w snach coś nieustannie mnie goni, a ja nie mam siły uciekać. O tym, że zostałem skrzywdzony, a teraz sam siebie krzywdzę. Tracę oddech.

Usta nie pozwalają wypuścić desperackiego krzyku, o który błaga krwawiące serce. Jestem zmuszony nadal dusić go w sobie, lecz dręczy



mnie strach. Co, jeśli skończy się we mnie miejsce, jeśli tłamszony wrzask rozpaczy eksploduje? Co wtedy?

Placę, bo patrzy na mnie jedynie księżyc i on nie ocenia. Pozwala mi na płacz, jakby przejrzał na wylot moją duszę i rozumiał, że tego potrzebuję. Więc placę, otulony płaszczem nocy, a gwiazdy mrugają, przegrywając walkę o moją uwagę ze łzami rozbijającymi się na bruku. Każda z nich idealnie ukazuje moje życie; najpierw jest wysoko nad ziemią, a potem spada w dół, najniżej, jak tylko można, i ziemia ją pochłania. Nikt o niej nie pamięta, nawet jej nie zna. Ze mną jest tak samo. Jestem samotną łzą, którą los uronił podczas krojenia cebuli. Nic nieznaczącą łzą.

### III

#### **13 sierpnia 2004 r.**

*- Proszę, nie...- Zapłakałem, jednak to nic nie dało. Roześmiał się wtedy tak, jak to robią „ci niedobrzy“ w kreskówkach i filmach akcji. Szarpnąłem się, a on uderzył mnie w policzek i poruszył biodrami. Moja pupa nigdy nie bolała tak bardzo. Krzyczałem, płakałem, a on nie przestawał.*

Teraz już nie proszę. Sam na to pozwalam, bo Ellie potrzebuje nowych ubrań i książek do szkoły. Jest ich dwóch, jeden przywiązuje mnie do łóżka, a drugi zdejmuje z siebie ubrania. A potem wędruję myślami do domu, gdzie Harry bawi się z Ellą i oboje śmieją się wesoło. Moje ciało jest teraz zabawką, moim narzędziem pracy, manekinem.

Budzę się z krzykiem, zlany potem. Serce chce wyskoczyć z piersi, płuca zdają się nie nadążać z filtrowaniem powietrza. Zrzucam z siebie koldrę i przez ciemność nocy wdzieram się do łazienki, by tam złapać się za głowę. Patrę w lustro i nie poznaję postaci po drugiej stronie. Biel jej skóry zlewa się z kolorem ściany, szeroko otwarte oczy zdradzają szok i roztrzęsienie, po jasnych policzkach spływają łzy, pozostawiając po sobie czerwone korytarze rozpaczy, i wygląda jak wrak człowieka. Bez zastanowienia otwieram szafkę, łamię jednorazową maszynkę do golenia i przyglądam się krzywemu odbiciu światła w metalowym ostrzu. To hipnotyzuje mnie, intryguje, zachęca. Patrząc w dół na żyłkę, w tle zauważam siniaki na udach i biodrach, i warczę z obrzydzeniem do samego siebie. Miał rację,

jestem śmieciem. Kręcę głową. Nigdy nie sądziłem, że przyznam mu rację. Siadam na zimnych kafelkach, opieram się o wannę i obracam ostrze między palcami. Fascynuje mnie myśl, że to maleństwo może przenieść mnie do lepszego świata w kilka sekund, jeśli tylko właściwie go użyję. To niesamowite. Z westchnieniem ulgi rozcinam skórę na udzie, a potem poświęcam całą uwagę krwi. Najpiękniejszy odcień czerwieni, jaki kiedykolwiek widziałem. Głęboki i kojący. Spływa wolno i rozbija się z głuchym echem na czarnej podłodze. Zamykam oczy, rozkoszując się błogością. Ta jednak szybko znika, serce znowu przyspiesza, niemal błagając o więcej. Więcej ulgi. Ręce drżą, a ja czuję się jak narkoman na głodzie. Gryzę dolną wargę, aż do momentu pojawienia się metalicznego smaku na zębach. Jak bardzo można pragnąć cierpienia fizycznego? Poddaję się i przystawiam narzędzie do skóry, gotów nakreślić kolejną ścieżkę chwilowego zapomnienia, gdy nagle trzeźwieję. Z kuchni na dole słyszę dźwięk tłuczonego szkła i w moje serce wbija się zardzewiały hak. Ellie. Zostawiam mój sztuczny raj, zrywam się na nogi i kilka sekund później jestem już przy mojej księżniczce.

- Zostaw to, Maleństwo. - Karczę ją, jednak w moim głosie pobrzmiwa jedynie troska i Ellie to wyczuwa, bo uśmiecha się niewinnie. Światło z wnętrza lodówki rozjaśnia jej twarz w tak dziwny sposób, że widzę skierki na jej karmelowej cerze. Przez chwilę myślę, że zwariowałem, a potem przypominam sobie, że używa kremu z drobinkami złota. Moja mała, piękna dziewczynka. Ma już 15 lat.

- Chciałam... Tylko chciałam zrobić ciepłe mleko, nie chciałam zbić dzbanka, przysięgam! Tylko mleko, dla ciebie, bo chyba śniło ci się coś złego...

- Shhh, kochanie. To nic. Chodź do mnie. - Zachęcam, wyciągając ręce w jej stronę, bo nie powinna się tłumaczyć. Jest ze mną bezpieczna, nigdy jej nie skrzywdzę i nie pozwolę jej skrzywdzić. Z zadowoleniem zauważam wesołe iskierki w jej oczach o barwie mlecznej czekolady, a potem drobna szatynka jest już w moich ramionach. Jeśli miałbym zdefiniować pojęcie domu, odpowiedziałbym, że mój dom to Ella. Nie willa z basenem, nie przytulny domek z kominkiem. Mój dom, a nawet mój świat, zaczyna się i kończy na Elli. W porządku, jest też Harry. Ale to inna historia.

- Nie musisz się bać, skarbie.
- Nie chcę, żebyś się na mnie gniewał. Kocham cię.

Jak mogłem w ogóle pomyśleć o śmierci? Jak mogłem pozwolić, by oślepiła mnie egoistyczna chęć odejścia z tego świata? Jestem idiotą, nie mogę zostawić mojej Małej. Rano budzę się w salonie, tuląc do siebie Ellie tak mocno, jakby od tego zależało moje życie. Całuję jej czoło, przygotowuję dla niej śniadanie i wychodzę z domu. Samochodem docieram do Centrum Zdrowia Psychicznego w Manchesterze. Przytłacza mnie wielkość tego miejsca, czuję się niezręcznie przez perspektywę opowiadania obcej osobie o swoich problemach, ale wiem, że muszę. Po chwili oczekiwania słyszę swoje nazwisko, więc wchodzę do gabinetu w kolorach ciepłego brązu i bieli. Siadam na kanapie, rozglądając się z ciekawością wypisaną na twarzy. Jest całkiem miło, muszę przyznać. Przytulnie.

- A więc, Louis. Co cię do mnie sprowadza?

Mężczyzna nie jest starszy niż 28 lat, ma duże oczy w otoczce grubych, długich i gęstych rzęs. Nigdy nie widziałem mężczyzny z tak pięknymi oczami. Na jego twarzy widniał przyjazny uśmiech, jego spojrzenie było ciepłe i troskliwe. Biorę głęboki wdech i zamykam oczy, mentalnie przygotowując się na to, co zamierzam powiedzieć.

- W wieku 13 lat zgwałcił mnie mój ojciec.

#### IV

Zakładam płaszcz, owijam się szczelnie grubym szalem i, patrząc w lustro, poprawiam włosy.

- Els, wychodzę!

Godzinę później jestem już przy Harry'm. Siadam na zimnej ławce, układam dwie, splecione ze sobą róże na marmurowym nagrobku. Starannie muskam opuszkami palców „Tu spoczywa w Bogu ukochany syn, brat i jedyny przyjaciel. Zginął śmiercią samobójczą” i do moich uszu dobiega rozmowa ze strażnikiem więzienia z tamtego paskudnego dnia. Wybierałem się wtedy na widzenie, tak bardzo tęskniłem za Harrym, długo starałem się o możliwość spotkania. Od dnia wyroku rozmawiałem z nim tylko raz. Tego dnia runęła spora część mojego świata. Kiedy tylko zobaczyłem twarz policjanta, wiedziałem, że coś się stało. On spojrzał na

mnie tak, jakbym decydował właśnie o jego życiu lub śmierci. A potem powiedział mi o śmierci Harry'ego. Informacja, że było to samobójstwo, okazała się nożem prosto w serce. Z kieszeni płaszcza wyciągam starannie złożoną kartkę papieru i czytam, nawet nie wiem, który już raz. Wciąż nie wierzę.

*Manchester, 3 maja, 2014 r.*

*Kochany Lou,*

*Kiedy będziesz czytał ten list, nie będzie mnie już na tym świecie. Ale nie martw się, będę wtedy dokładnie obok Ciebie i nie pozwolę Ci upaść. Gdy miałem jedenaście lat, moja rodzina postanowiła przeprowadzić się do Doncaster, a tam zostałem przywitany przez chłopca, który opluł mnie, jak tylko dowiedział się, w jakim domu mieszkam. Tego dnia zauroczył mnie drobny, zadziorny szatynek o błękitnie tęczówek tak jasnym i wyjątkowym, że nie potrafiłem go porównać do niczego na Ziemi. Dorastałem, a szczenięce zauroczenie dojrzało do wiecznego, trudnego do opisanie uczucia. Nic nie mówiłem, zbyt przerażony perspektywą utraty tak bliskiej mi osoby oraz zbyt zachłyśnięty niesamowitą świadomością posiadania kogoś tak pięknego, zabawnego i mądrego. Uważałem, że nie jestem wart zaszczytu wyznania mu tych dwóch słów, na które czeka każdy; dla których ludzie żyją. Ja żyłem dla Ciebie, skarbie, tylko trochę cierpiąc w milczeniu, kiedy opowiadałeś mi o dziewczynach, które robiły do Ciebie maślane oczy. To zabawne, że potrafiłeś po oczach dokładnie określić, która nastolatka do Ciebie sekretnie wdychała, a pominąłeś miłosne iskierki w zieleni mojego spojrzenia.*

*Coś się z Tobą działo, Lou. Coś bardzo złego, a ja - zagubiony w zakazanej miłości - nie podejrzewałem nawet, że działa Ci się taka krzywda. Owszem, zdarzały się dni, kiedy jako dzieciak pytałeś, czy możesz zostać u mnie na noc, ale wtedy po prostu byłem zaślepiiony naiwną myślą, że może chcesz spędzać ze mną więcej czasu. Jednak, kiedy zacząłeś pytać, czy możesz zabrać ze sobą Ellie, to było dziwne i teraz - gdy o tym myślę - mam ochotę dać sobie w twarz za to, że nie pytałem o powód. W końcu Ella*

*miała wtedy niecałe 4 latka, powinna być pod opieką mamy - nie Twoją. Było Ci bardzo ciężko? Boże, gdybym mógł cofnąć czas... Gdybym wiedział, że uciekałeś do mnie przed katem, jakim był Wasz ojciec. Wtedy nie miałem pojęcia, jak ogromny ciężar nosisz, a mimo to byłeś najweselszą osobą, jaką znałem. To dla mnie niepojęte, jak kilkunastoletni aniołek mógł przechodzić takie piekło każdego dnia i jednocześnie przyprawiać o dobry humor każdą osobę w promieniu 50 metrów. Teraz wiem, że ludzie, którzy twierdzą, że najbardziej cierpią osoby, którym za dnia uśmiech nie schodzi z twarzy, mają rację. Skrywałeś tak wiele sekretów, a ja głupi chwaliłem się i śmiałem nazywać Twoim przyjacielem. Jak wiele przede mną zataiłeś? Jaką częścią Twojego prawdziwego życia był gwałt? Zdałem sobie sprawę z tego, że nie było Cię na moim procesie i tak naprawdę nie wiesz, dlaczego jestem w więzieniu o zastrzonym rygorze. Zastanawiam się, dlaczego o to nie zapytałeś? Ta wiadomość obiegła przecież pół świata, a Ty przeszedłeś do mnie na widzenie i rozmawiałeś ze mną tak, jakbyśmy spotkali się w kawiarni, jakbym nie był ubrany w pomarańczowy kombinezon z 8. cyfrowym kodem na piersi. Wiedziałeś? Może byłeś mi wdzięczny? A może tak bardzo chciałeś uciec od przeszłości, że omijałeś temat morderstwa nagłaśniany przez długie miesiące? Zrobiłem to. Pomściłem cierpienie Twoje i Elli. Ten bydlak nie zasługiwał na spokojne życie, nie mogłem do tego dopuścić.*

*21 listopada 2013 roku pojechałem do Doncaster, wiedząc, że Twoja mama jest w pracy. Dopadłem go w salonie, ten śmierzący leń wiecznie okupywał stary fotel przed telewizorem. Kiedy zobaczył nóż w mojej dłoni, uśmiechnął się pogardliwie i rzucił coś obraźliwego w moim kierunku. Jednak nie to sprawiło, że w moich żyłach zawrzała krew. Przegiął mówiąc, że robię za marnego rycerzyka dla nic niewartego śmiecia, który zasługuje tylko na to, co go spotkało. Wtedy nie wytrzymałem. To zwierzę szczyciło się dokonaniem gwałtu. Zadałem dokładnie 58 ciosów, każdy w innym miejscu na jego parszywym ciele. Nie chciałem go od razu zabić; pragnąłem jego cierpienia, powolnej śmierci w męczarniach. Z każdą sekundą rosła we mnie furia, bo wyobrażałem sobie te brudne łapy pozostawiające skazy na delikatnym bladym ciałku przerażonego chłopca. Widziałem, jak niebiański błękit oczu pokrywa szklana tafla łez, jak tęczówki zostają*

rozpychane i zwężane przez głęboką czarną dziurę źrenic. Widziałem nienaturalną biel zastępującą karmelową cerę. Widziałem, jak niemal każda komórka w ciele chłopca błagała o litość swojego kata, a dusza powoli ulatywała jak najdalej od miejsca zbrodni. Widziałem strach i przesywający ból i to samo chciałem zobaczyć w spojrzeniu tej kanalii. Nigdy nie sądziłem, że będę zdolny choćby do złamania komuś ręki, a tamtego dnia zasztyletowałem, przypaliłem, wpakowałem do samochodu i wywoziłem na skraj miasteczka na wpół żywe ciało, by zrzucić je w przepaść i patrzeć, jak ostatecznie ginie nabity na ostrą krawędź skały. Taka jest siła miłości, obudziła we mnie rządzą krwi tego, kto skrzywdził cały sens mojego życia zamknięty w pięknym chłopcu o uśmiechu, który mógłby zapobiec całemu złu na świecie. Zrobiłem to, z zimną krwią zamordowałem to coś, co nawet nie zasługiwało na miano człowieka. I choć zostałem skazany na dożywocie, zrobiłbym to po raz drugi, bo niczego nie żałuję. Wiem, że to nie zwróci Ci dzieciństwa, że nie uleczy ran na Twoim podartym serduszku. Ale mam pewność, że on już nigdy nie dotknie ani Ciebie, ani Twojej siostry. Że możecie odzyskać choć skrawek poczucia bezpieczeństwa, bo Waszego mordercy już nie ma. Sądzę, że wiesz, dlaczego tak go nazwałem. Odebrał Wam niewinność, zamienił najlepsze lata życia w czysty horror, brutalnie zamordował część Was, osadzoną głęboko w środku i pozostawił dziurę, której już nigdy nie wypełnicie. Musiał za to odpowiedzieć, musiał ponieść konsekwencje, musiał zginąć. Najpierw pozbyłem się tego - nieznośnie zadowolonego i złośliwego - uśmieszku, jakim zawsze Was obdarzał, a potem pozbyłem się ciała, które przygniatało Was do materaca, gdy zadawał Wam tak ogromny ból piorąc Was z uczuć. Każdy mówi, że miłość trzeba jakoś udowodnić; trzeba się dla niej poświęcać. Ja poświęciłem całego siebie dla miłości, która nigdy nie miała racji bytu. Oboje kochamy nielegalnie, niepoprawnie, wbrew prawom natury. Tylko, że ja kocham Ciebie, a Ty kochasz Ellę. Oboje długo się tego wypieraliśmy, ale czas spojrzeć prawdzie w oczy. Nie uciekniemy przed tym, co mówią nasze serca. W tej bajce nie ma dla mnie miejsca. Jesteś tylko Ty i Ella. I niech tak pozostanie.

Nie myśl, że jestem na Ciebie zły. Życzę Wam wszystkiego, co najlepsze. Zastługujecie na to po długich latach ciągłego strachu, łez, przemocy.

*Umierałem od środka, wiedłem niczym zaniedbany kwiat, wypalałem się, aż w końcu doszedłem do momentu, kiedy stałem się jedynie skorupą człowieka. Nie potrafię tak żyć. Nie potrafię żyć w obojętności na wszystko, co mnie otacza. Postanowiłem zakończyć swój marny żywot, tak będzie lepiej.*

*Jedyne, o co proszę to, żebyś nie wpadł w depresję. Nie po to rezygnuję ze swojego życia, żebyś Ty do reszty zniszczył swoje. Masz być szczęśliwy, proszę, chociaż spróbuj. Przestań istnieć, zacznij żyć. Kocham Cię, Louis, dlatego to zrobiłem. Proszę, nie zmarnuj tego. Zacznij wszystko od nowa, bez strachu i obaw. Napisz kolejny rozdział w książce swojego życia i zadbaj o to, aby skończyła się happy endem. Masz kogoś, kto Cię kocha i kogo Ty kochasz. Nie patrz na ludzi, kieruj się własnym sercem, a poznasz smak szczęścia. Pamiętaj, że zawsze będę przy Tobie. Nawet, jeśli mnie nie zauważysz, będę tuż obok, by wybić Ci z głowy głupie pomysły.*

*Na zawsze Twój,*

*Harry.*

Tak właśnie straciłem przyjaciela. Od dnia jego śmierci oficjalnie żyłem tylko dla jednej osoby.

## V

Nienawidzę poniedziałków. Generalnie nienawidzę dni roboczych. W weekend mogę schować się w domu, patrzeć, jak zmienia się moja siostra. Nie jest już małą; dwa miesiące temu skończyła 16 lat i uważa, że jest już dorosła. Jej włosy urosły, nabrały większego blasku i zaczęły się kręcić. Prawie mnie przewyższała, choć dzieliło nas 10 lat różnicy wieku. Całe jej dorastanie przeleciało mi przez palce, a to wszystko wina mojej pracy, o której ona nie ma pojęcia. Nie musiała wiedzieć, że ja codziennie przechodzę przez to, co ona przeżyła tylko raz. O jeden raz za dużo. Mimo wszystko mamy świetny kontakt, spędzamy razem każdą wolną chwilę, a jest ich tak mało.

Jest tak ciepło, że cały się pocę, gdy zmierzam do szkoły mojej siostry, by zabrać ją na obiad na miasto. I nagle na ulicy pojawia się on - gość w ogromnych czerwonych butach, błyszczącym workowatym kombinezonie w kolorowe grochy, wymalowanej na białą twarz z czerwoną otoczką wokół

ust i czarnymi brwiami na wysokości połowy czoła oraz czerwoną pileczką na nosie. Idzie w moją stronę, głośno trąbiąc w swój klakson i dziwię się, że tylko ja zwróciłem na niego uwagę. Kącki moich ust mimowolnie unoszą się do góry na mniej, niż sekundę.

- Pokazać ci magiczną sztuczkę? - krzyczy, jakby stał co najmniej kilka metrów ode mnie. Kręcę głową, wzdychając cicho.

- Nie jestem dzieckiem.

- Nikt nie jest za stary na radość!

- Ze mnie radość wyparowała dawno temu i raczej już nie wróci.

- Mylisz się, Louis.

- Skąd znasz moje imię? - pytam autentycznie zaskoczony, ale Klaun jedynie śmieje się głośno, a potem ociera niewidzialną łzę.

- Nie straciłeś nadziei.

- Owszem, straciłem - warczę nagle i sam nie wiem, dlaczego mnie zdenerwował.

- Nie - swoją odpowiedź podkreślił dźwiękiem klaksonu. - A wiesz, co cię zdradziło?

- Oświeć mnie.

- Uśmiechnąłeś się na mój widok.

- Bo wyglądasz idiotycznie.

Klaun łapie się za serce w dramatycznym geście.

- Jednak coś spowodowało twój uśmiech. Szczery, niekontrolowany uśmiech. Masz w sobie szczęście, po prostu jest ukryte.

- Niby skąd to wiesz? To jakiś nowy dziwny sposób na drażnienie ludzi?

- Raczej sprowokowanie cię do działania.

- Idź pomóć kogoś innego, proszę... - Nie mam siły na kłótnię z Klaunem na środku miasta, naprawdę. Draży niebezpieczny temat, nie wytrzymam długo.

- Louis, przyjrzyj się. Doszło do tego, że musisz rozmawiać sam ze sobą poza domem.

- O czym ty mówisz?



- Nikt inny mnie nie widzi, Lou. Jestem tu dzięki sile twojego umysłu. A raczej jego desperacji. Zrób coś ze sobą, zamiast wciąż rozpamiętywać. Będzie dobrze...

- Przestań! Nigdy nie będzie dobrze, jestem męską prostytutką, nie zasługuję na szczęście! - krzyżąc to widzę, jak ludzie patrzą na mnie, jak na kontrowersyjny eksponat w galerii sztuki. Rozglądam się i już wiem, że nie było żadnego Klauna. Mam ochotę zniknąć.

## VI

- Jak tu pięknie...

Widzę zachwyt w oczach swojej siostry i uśmiecham się czule na ten widok. Stoimy przed naszym nowym domem, gdzieś na przedmieściach Dublina. Słońce ogrzewa nasze ciała, w sąsiedztwie słychać szczekanie psa i wesołe gaworzenie dziecka. Ella ma na ramieniu torbę, a ja trzymam teczkę z dokumentami. Dostałem oświadczenie o przyjęciu mnie na uniwersytet, od przyszłego miesiąca zacznę studia.

- Wszystkiego najlepszego z okazji 18 urodzin, maleńka.

Ella spogląda na mnie wielkimi, ufnymi oczami, a w kolejnej sekundzie przywiera do mnie całym swoim ciałem, oferując mi potężny uścisk. W końcu oddycham z ulgą i śmieję się szczerze, pierwszy raz odkąd sięgam pamięcią.

- Niech ten jubileusz milowym będzie kamieniem - mówi poważnym tonem, a potem śmieje się, póki nie łączę naszych ust w krótkim, czułym pocałunku. Zaczynamy wszystko od nowa.

*Martyna Selonke*

## II nagroda w kat. młodzieży

\* \* \*

Kopnięta z impetem butelka rozbiła się o krawężnik. Echo szklanej śmierci potoczyło się między obdrapanymi kamienicami. Na brukowaną, śliską od deszczu ulicę padało złote światło lamp i odbijało się od kamieni. Gdyby nie aktualny humor mężczyzny, mógłby on pomyśleć, że jest to bardzo malowniczy pejzażyk, niemalże jak z widokówki starego miasteczka. Zamiast tego rzekł cicho do samego siebie:

- Cholerny deszcz...

W tym momencie chciał jak najszybciej dostać się do swojego mieszkania. Chłodny wiatr zmusił go do zapięcia płaszcza pod samą szyję. Drżąc z zimna szedł uliczkami prawie opuszczonego miasta. Prawie, bo z każdej z bram kamienic obserwowały go podejrzliwie dwie, czasem trzy pary oczu bezdomnych ubranych w przeżarte brudem i postrzępione łachy. Nie chciał mieć z nimi do czynienia, to było oczywiste. Przyspieszył kroku.

Po około dziesięciu minutach marszu znalazł się w swojej klatce schodowej. Wszedł po nierównych schodkach na półpiętro, wyciągnął drobny kluczyk i otworzył skrzynkę na listy pomalowaną w mdły, bliżej nieokreślony kolor. Reklamy, ulotki o odchudzaniu, list w sprawie rozwodowej, znowu reklamy, list straszący komornikiem – jego cotygodniowe podsumowanie rzeczywistości. Teraz mógł dodać do tego ewolucję w bezrobotnego. Westchnął tylko i skierował swoje kroki dalej ku górze.

Znalazł się nareszcie w swoim mieszkaniu. Rzucił listy i kolorowe reklamówki na komódkę przy lustrze w przedpokoju. Zdjął przemoczone buty a pokryty kropelkami wody płaszcz powiesił na wieszaku. Wszedł do kuchni i z lodówki wyjął piwo. Obrzucił jeszcze szybkim spojrzeniem jej blade wnętrze – oprócz żółtego sera w plastrach nie było nic. Kiedy szedł do salonu, zgarnął przy okazji rzuconą makulaturę. Dopiero teraz

zauważył, że jeden list wylądował na podłodze. Schylił się i podniósł papierowego uciekiniera. Szkarłatne, ręcznie napisane litery jego imienia i nazwiska przykuły uwagę i sprawiły, że mężczyzna przystanął na dłużej, wpatrując się w zagadkową kopertę. Trzymając list w jednej i resztę papierów w drugiej ręce, wszedł do saloniku.

Na niskim stoliku przy skórzanej kanapie stało kilka pustych piwnych butelek. Mężczyzna usiadł ciężko na sofę i westchnął, kładąc papiery obok szkła. Na moment zamknął oczy, jakby chciał przez chwilę odciąć się, uciec od świata zewnętrznego. Musiał jeszcze raz poukładać sobie wszystko w głowie. Sprawa rozwodowa, banki straszące komornikiem, brak pracy.

- Jest, cholera, cudownie...

Bezrobotny sięgnął po kopertę, która przykuła wcześniej jego uwagę. Rozerwał krawędź i wydobyl ze środka list, zapisany równym, szkarłatnym pismem.

*Szanowny Panie Marku Korzecki,*

*Mamy przyjemność zaprosić Pana na rozmowę kwalifikacyjną w przełomowym projekcie, który może zmienić oblicza współczesnego świata. Słowa pisane nie są w stanie wyrazić naszego podekscytowania możliwościami, które staną przed nami otworem, jeśli tylko zgodzi się Pan na spotkanie. Jeśli jednak uzna Pan to za stratę swojego czasu, uszanujemy decyzję. Nie jest to przecież ordynarna sytuacja dostawać taki list. Niemniej prosimy o zastanowienie się nad tym.*

*Na rozmowę zapraszamy dnia jutrzejszego, tj. 4 października 2020 roku, do Instytutu Ratunku Polskiej Myśli Kulturowej w Warszawie znajdującego się na ulicy Pięknej 32. Prosimy zgłosić się do recepcji o godzinie 11:00, gdzie zostanie Pan poinstruowany o następnych krokach.*

*Z poważaniem i wyrazami szczerzej nadziei*

*Dyrektor Instytutu Ratunku Polskiej Myśli Kulturowej w Warszawie*

*Konstanty Wybicki*

Marek przeczytał list jeszcze raz, potem drugi i trzeci. Czuł się zmieszany. I to nawet bardzo. Dlaczego to właśnie on został zaproszony? Przecież jest tutaj wiele innych osób. A może jest to jakiś eksperyment?

Pytania kotłowały się w jego głowie i doprowadzały do kolejnym dziwnych teorii na temat zaproszenia. Po chwili zdał sobie sprawę, że nie dowie się niczego nowego, jeśli będzie tak siedzieć. Idąc tam, nie tracił przecież nic. A kto wie, może nawet wpadłaby jakaś miła suma pieniędzy?

\*

Za drewnianą ladą recepcji stała młoda, jasnowłosa kobieta. Na każdej podłużnej ścianie wisiało po kilka obrazów przedstawiających różne pejzaże, ludzi i bliżej nieokreślone formy geometryczne. Pomieszczenie było obszerne, ale zaaranżowano w taki sposób, że nie odczuwało się dużej przestrzeni. Dzięki lampom na ścianach i drewnianym panelom było tutaj bardzo przytulnie. Gdyby jeszcze tylko zakupić kilka stolików i krzesła, recepcja mogłaby przejąć również rolę kawiarni.

Kobieta uśmiechnęła się w stronę Marka, który wchodził niezbyt pewnie do środka. Kiedy był już w połowie drogi, odezwała się do niego:

- Bardzo nam miło, że pan się zjawił, panie Marku – powiedziała uśmiechając się tak, że zrobiły jej się niewielkie dołeczki w policzkach. – Bardzo proszę za mną.

Recepcjonistka prowadziła Marka przez długie hole pełne rozmaitych malunków. Mężczyzna zaczął się nawet zastanawiać, w jaki sposób upchnięto na tak małej przestrzeni tyle korytarzy. Budynek instytutu nie należał przecież do największych. Była to nieco większa, stojąca pomiędzy dwiema innymi kamienica. Wyróżniała się jedynie tym, że najbardziej kontrastowała kolorystycznie z pozostałymi budynkami.

Z zamyślenia wyrwało go nagle zatrzymanie się blondynki przed dwuskrzydłowym wejściem na końcu korytarza. Zapukała i po chwili ostrożnie otworzyła drzwi, zapraszając Marka gestem ręki.

- Powodzenia – szepnęła i uśmiechnęła się.

Gabinet był urządzony w starym stylu. Dębowe solidne biurko, duża biblioteczka za nim i mnóstwo obrazów pokrywających pozostałe ściany. W pokoju brakowało okien, jednakże dzięki przytulnemu ułożeniu mebli nie odczuwało się dyskomfortu. W dużym fotelu siedział drobny, starszy człowiek w beżowej marynarce i okularach bez oprawek, który uśmiechał

się w stronę gościa. Markowi skojarzył się on z miłym staruszkiem z sąsiedztwa. Dał mu jakieś siedemdziesiąt lat.

- Miło mi pana osobiście poznać, panie Korzecki. – Dziadek wstał i podał rękę na powitanie. Marek odwzajemnił uścisk. – Proszę, niech pan siada.

Kiedy obydwoje klapnęli na skórzane fotele, starszy mężczyzna podjął temat:

- Jak pan zapewne się domyśla, nazywam się Konstanty Wybicki. Zanim pan tutaj przyszedł, zastanawiałem się głęboko jak poprowadzić tę rozmowę z racji tego, że dysponujemy naprawdę niewielką ilością czasu. Nie będę więc owijać w bawełnę i przejdę do konkretów. Otóż za dwa tygodnie w Muzeum Narodowym w naszym mieście ma mieć wystawa pod tytułem *Zaginione Dzieje*, która organizowana jest z okazji jubileuszu oddania pierwszego obrazu pod opiekę galerii przez wybitnego polskiego malarza, Zygmunta Kenera. Tematyka wystawy daje nam naprawdę ogromne możliwości dotyczące pokazywanych obrazów. Nie chciałbym jednak, żeby to była kolejna impreza z tych, na które się chodzi tylko po szampana i pseudointeligentne pogaduszki. Pragnę, żeby ludzie zapamiętali ją do końca swojego życia. I teraz kieruję do pana może trochę dziwne, odbiegające od naszego tematu pytanie: wierzy pan w podróże w czasie?

- Em... - pytanie zaskoczyło Marka. – Jakby to powiedzieć... Słyszałem, że to niemożliwe z powodów jakichś tam praw fizyki, ale nie zagłębiałem się w to za bardzo...

Dyrektor dostał napadu tak zaraźliwego śmiechu, że Marek poczuł jak mimo woli podnoszą mu się kąciki ust. Nie był to jednak śmiech pogardy – wręcz przeciwnie.

- Proszę mi wybaczyć to zachowanie – odchrząknął. – Otóż sytuacja wygląda następująco: po drugiej wojnie światowej wiele obrazów Kenera zaginęło, albo zostało po prostu zniszczonych przez wycofujących się niemieckich żołnierzy. Może pan się tylko domyślać, jak wielka to była strata dla polskiego malarstwa...

- No dobrze, rozumiem. Wciąż jednak nie wiem, jaką odgrywam w tym wszystkim rolę – odparł już nieco znudzony gadaniem Marek.

- Chcemy pana wysłać sto lat wstecz – odpowiedział bez ogródek stary. – I za nim pan zada pytanie, dlaczego właśnie to pana chcemy wysłać, bo już widzę jak pan podnosi rękę, to odpowiem: to nie jest tak, jak na tych wszystkich amerykańskich filmidłach, że można posłać dowolną osobę w dowolne miejsce na świecie. Ważna w tym przypadku będzie jak najmniejsza różnica genów. Nasz zespół zorientował się bowiem, że miał pan pradziadka, który żył w tamtym okresie w Warszawie.

- Rozumiem... - Marek próbował ułożyć sobie wszystko sensownie w głowie – ale dlaczego, do cholery, wybraliście mnie?! Przecież jest tylu innych tutaj ludzi!

- Z wykształcenia jest pan historykiem, nieprawdaż?

Tego już było zdecydowanie za wiele. Oni wiedzieli o nim wszystko. O jego krewnych, zamieszkaniu, wykształceniu. Zaraz się okaże, że to pewnie ich sprawka, że stracił pracę i znalazł się w tak beznadziejnej sytuacji. Uczucie ogołocenia mieszało się z wściekłością. Chciał stąd wyjść. Uciec z tego miejsca. Już miał zamiar wstać i trzasnąć drzwiami, gdy nagle dyrektor powstrzymał go ręką przed takim zamiarem.

- Domyślam się, jak okropnie może pan się czuć w tej chwili. Mogę jedynie pana szczerze przeprosić za to wszystko, co teraz pan odczuwa. Chciałbym jednak zwrócić uwagę, co może pan osiągnąć przez taką podróż: ma pan okazję zacząć całe życie od nowa: bez długów, problemów rodzinnych... - oczy dyrektora emanowały ciepłem, a głos uspokajał. – Wiem, że jest to bardzo ciężka sprawa i podjęcie decyzji...

Marek nie słuchał dalej głosu starego. Myślał. Może to wszystko nie było takie głupie, jak mówił? Co właściwie go tutaj trzymało? Kredyty? Komornik wchodzący na pensję? Problemy rozwodowe? Rodzina się od niego odcieła, a wszyscy ci koledzy i przyjaciele gdzieś puciekali. Nie trzymało go tu już w zasadzie nic. Pewnego dnia chciał uciec i on, ale dokąd?

- ... więc można powiedzieć, że będzie to kamień milowy wśród skał dzisiejszego...

- Wchodzę w to – odpowiedział cicho Marek.

- Słucham? – dyrektor jakby nie uwierzył w słowa gościa.

- Mów, co zrobić i wysyłaj, staruszk – odpowiedział i uśmiechnął się do siebie.

\*

- Pamięta pan kod do sejfu?

„9-7-1-0-0-9“. Nie mógł zapomnieć tej sześciocyfrowej kombinacji. Na wszelki wypadek wytatuowano mu ją na lewym nadgarstku.

Maszyna była wysokim na dwa metry białym walcem. Drzwiczki z boku miały kształt okręgu o średnicy około jednego metra – wystarczająco dużo, by bez problemu dostać się do jej wnętrza. Marek wyobrażał ją sobie nieco inaczej. Oczami wyobraźni widział jakiś wehikuł z mnóstwem różnych dźwigni i wskazówek. Nie marzył nawet o kultowym już Delorianie.

W jej wnętrzu panował przyjemny chłód. Przyjemny z tego względu, że miał na sobie dopasowany wełniany płaszcz – tak zwaną dyplomatkę w kolorze granatowym. Na głowę nałożył fedorę. Krótko mówiąc – gdyby wyszedł teraz na ulicę w otoczeniu kamer, ludzie wzięliby go za aktora grającego w filmie gangsterskim.

Ściany cylindra zaczęły się obracać. Z każdym okrążeniem coraz szybciej i szybciej. A on stał na baczność. Zakazano mu jakiegokolwiek ruchu w obawie przed „zgubieniem się” jego cząstek w czasoprzestrzeni. Na ścianach z trzaskiem zaczęły formować się błękitne nici przypominające sieć pająka. Było coraz głośniejsze. Miał wrażenie, że wszystko się rozpadnie – on i cała ta kamienica. Zamknął oczy. A potem poczuł już tylko uwolnienie.

\*

Na początku był trzask, potem ból. Otworzył oczy. Nieprzenikniona ciemność. On sam spadł na jakieś mizerne drzewko łamiąc je w połowie. Spojrzał na ręce – obie. Następnie na nogi – tak samo. Obmacał się jeszcze dokładnie, by sprawdzić, czy faktycznie jest cały. Złapały go jedynie mdłości. Zwymiotował na ziemię.

Z tego co się zorientował, z trzech stron otaczały go ciemne wody Wisły. Na drugim brzegu ciągnął się sznur ulicznych lamp, których blask padał na przedwojenne kamienice, teraz pogrążone w głębokim śnie. Marek wyciągnął mapę miasta z tamtego okresu, którą dostał przed skokiem. Wymacał również Colta, dwa magazynki, pieniądze i instrukcje, czego

należy szukać. Błądził chwilę palcem po mapie i w końcu znalazł swoje położenie. Wilcza Wyspa.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że się udało. Podekscytowanie nie trwało jednak długo, bo miał stosunkowo mało czasu na realizację misji. Według instrukcji miał udać się do hotelu Bristol, by stamtąd znaleźć sposób na, nie oszukujmy się, kradzież wybranych obrazów Kenera. A co potem? Dyrektor zaproponował mu możliwość powrotu do przyszłości, jednakże ta opcja nie była jeszcze pewna. W tym celu wszczepiono mu w prawe ramię nadajnik czasoprzestrzenny, który miał pozwolić na lokalizację przez zespół dyrektora.

Marek rozejrzał się dokładniej po okolicy. Wyspę porastały w większości zarośla i wysoka trawa. Gdzieniedzie wyrastała jakaś młoda brzoza. Mężczyzna znalazł najgęstszy krzak i wsunął się pod niego. Nie było przecież teraz sensu iść do hotelu – byłoby to przecież zbyt podejrzliwe. Chodzenie po Warszawie również należało do złych pomysłów. Kto wie, co może spotkać go w ciemnych zaułkach. Miał niby broń, ale...

Myślał jeszcze o ciężącym na jego barkach zadaniu, obserwując gwiazdy na czystym niebie. Nie wiedział, kiedy sen nakrył ciemny koc na jego myśli.

\*

Pod powiekami błysnęło intensywnie czerwienią. Promienie słońca, które zalewały całą okolicę i kazały wesoło migotać rosie na trawie, zbudziły Marka. Chłodny wiatr przyniósł mu uczucie rzeźkości po nocy spędzonej pod gołym niebem. Mógł tak ruszać na miasto.

Poszedł na południe i mostem wydostał się z wyspy. Kiedy szedł ulicami stolicy, odniósł wrażenie, że nie różni się ona prawie od zabytkowej części Gdańska czy Torunia, w których był kilka razy w życiu. Przytulone do siebie kamienice, kawiarnie kuszące mocnym, ale jakże budzącym zapachem kawy, czy też wesoło gawędzący ludzie przy stolikach; to wszystko sprawiało, że Marek nie mógł się przestać uśmiechać. To było przecież wspaniałe: czysta kartka, na której można zapisać nową, lepszą historię. Szedł różnym krokiem, obserwując przy tym ludzi. Mężczyźni ubrani tak jak on – wełniane płaszcze, fedory i skórzane rękawiczki.



Niektórzy z nich szli pod rękę z kobietami. Te akurat miały na sobie sięgające do łydek płaszcze z kołnierzykiem obszytym lisim futerkiem. Na główce przechylny czerwony kapelusik, rękawiczki w tym samym kolorze i czarna torebka na przedramieniu. „Gdyby zrobić im zdjęcie, byłaby ładna widokówka” – pomyślał Marek i szedł dalej wyłożonymi kostką ulicami.

Nawet się nie zorientował, kiedy kroki zaniosły go do jednej z kawiarni na Mazowieckiej. W środku było aż gęsto od zapachu pieczonego ciasta i palonej kawy. Można nawet powiedzieć, że powietrze dałoby się kroić i sprzedawać je jako wyśmienity deser. Sam lokal był niewielki. W pomieszczeniu jednak nie było tłoku – ot, kilku ludzi siedzących przy okrągłych stolikach i pijących z białych filiżanek ciemny napar. Wysiadywali w większości przy ścianach, jakby w obawie przed zajęciem miejsc bardziej na środku. Marek zauważył w rogu towarzystwo, które głośno o czymś dyskutowało. Stanowili je w młodzi mężczyźni, około dwudziestki, ubrani w szare, beżowe i czarne marynarki. Wstawali po kolei i recytowali po jednym wierszu, po czym siadali i wznawiali dyskusję, często się śmiejąc.

Powędrował wzrokiem po całym pomieszczeniu i w końcu usiadł przy wolnym stoliku. Po kilku chwilach podeszła do niego młoda i uśmiechnięta kelnerka. Miała krótsze, jasne włosy, które okalały jej rozpromienioną twarz.

- Co dla pana?

- A co ma pani najlepszego?

- Hmm, pomyślmy... kawa po turecku, nasza specjalność – mrugnęła do niego oczkiem – a z ciast, to jak najbardziej sernik marchewkowy. Mój przepis, więc na pewno panu zasmakuje – pochwaliła się i roześmiała.

- Skoro tak pani zachwala swoje ciasto, to aż się skuszę – powiedział Marek z uśmiechem, który wywołała u niego przemiła kelnerka.

Kobieta odeszła rażnym krokiem, a mężczyzna śledził ją jeszcze wzrokiem zanim zniknęła gdzieś we wnętrzu kuchni. Zauważył na sąsiednim stoliku gazetę. Po chwili czytał już, co się dzieje w Polsce. Artykuł z pierwszej strony mówił o powołaniu Antoniego Ponikowskiego na stanowisko premiera. Podana była oczywiście długa lista zalet tego

wyboru – znak, że cenzura działa jak należy. Marek przewracał strony jakby od niechcienia, kiedy jego wzrok utkwiał na krótkiej wzmiance o zakończonej wystawie malarskiej Zygmunta Kenera, którą można było zobaczyć do wczoraj w Muzeum Narodowym. „I to jest konkretna informacja”.

W tym samym momencie podeszła kelnerka z ciastem.

- Smacznego – uśmiechnęła się i mrugnęła.

„Życie po tej wysyłce staje się coraz bardziej kolorowe” – rozmyślał Marek, nabijając sobie kolejny kawałek sernika. – „Żadne biuro podróży czegoś takiego nie zafunduje”.

\*

Marek otworzył w końcu drzwi do swojego pokoju w Bristolu. Ściany były pomalowane na pastelowy pistacjowy kolor, który świetnie współgrał z jasnobrązowym wyposażeniem, na które składał się mały sekretarzyk, stolik z dwoma krzesłami przy oknie, szafa w rogu i łóżko stojące przy dłuższej ścianie na jej środku.

Kiedy już zdjął płaszcz i umył się w niewielkiej łazience, podszedł do okna i rozejrzał się po okolicy. Widział nigdzie niespieszących się ludzi, którzy spacerowali ulicą Krakowską w sobie tylko znanym kierunku. Gwaru ich rozmów aż przyjemnie było słuchać. W czasach, z których przybył, dominowała jakaś skrytość i nieufność. Ludzie siedzący w autobusach czy pociągach, zapatrzeni byli w swoje stopy i rzadko oglądali innych pasażerów. Nie było nawet mowy o jakiejś błahej rozmówce podczas podróży. Od razu przecież uznałoby się takiego człowieka za kogoś z problemami emocjonalnymi, który pragnie wygadać się komukolwiek.

Marka chwyciła delikatnie dłonie melancholii. Rozmyślał tak jeszcze przez krótki moment, kiedy do drzwi rozległo się pukanie. Odwrócił się gwałtownie, sięgając za pas po swojego Colta. Odbezpieczył pistolet i ostrożnie podszedł do drzwi. Znowu zapukano.

- Chciałbym tylko poinformować, że za pięć minut rozpocznie się obiad w sali restauracyjnej – powiedział zza drzwi jakiś mężczyzna.

- Uff, tylko boy hotelowy – szepnął z ulgą Marek. – Dobrze, dziękuje bardzo!

„Za dużo się filmów z Bondem naoglądałem chyba” – stwierdził.

Po obiedzie miał jeszcze trochę wolnego czasu. Uciał sobie drzemkę, a kiedy budzik zadzwonił na zewnątrz było już ciemno i panował ziąb.

Dostanie się do budynku muzeum było najprostsza częścią planu. Wystarczyło wyjść z hotelu obok placu przed pałacem prezydenckim, skręcić w lewo i iść cały czas prosto na Książęcą. Takim sposobem Marek stał teraz przy wejściu dla personelu i wsadzał trzon łomu w szparę drzwi. Pociągnął mocno a te ustąpiły bez jęku. Pod osłoną nocy wślizgnął się do środka, zamykając je za sobą.

Przeszedłszy krótki korytarz znalazł się w wysokiej sali. Ze sklepienia, jak wielki stalowy pajak, zwisał rozłożysty żyrandol. Hala była obszerna – to jednak to nie to, czego szukał. Na wyższe piętro prowadziło dwoje schodów, pomiędzy którymi stała pusta kasa. Marek skręcił w prawo i powoli, w obawie przed strażnikiem, wdrapał się na nie.

Pierwsze piętro i kolejne drzwi. Marek wyciągnął rękę po klamkę. Nagle drzwi otworzyły się. Mężczyzna w ostatniej chwili przykleił się do ściany i nie dał się zauważyć strażnikowi, który schodził teraz i pogwizdywał pod nosem. „Było blisko” – pomyślał.

Musiał działać szybko. Prędko przechodził między salami w poszukiwaniu obrazów z listy, którą dostał od dyrektora. Na szczęście nie musiał szukać daleko, bo pierwsze trzy znajdowały się w galerii, w której aktualnie był, a pozostałe w następnej.

Trzymając pod pachą cel swojej misji, stwierdził, że najlepszym sposobem będzie powrót po własnych śladach. Przeszedł przez pierwsze, potem drugie drzwi. W ostatniej chwili zauważył strażnika, który gramolił się ciężko po schodach. Szybko skrył się za ścianą. Wyciągnął pistolet i jak najciszej przeładował. Czekał.

Strażnik dysząc przekroczył próg i zwolnił kroku. Marek modlił się, by ten nie odwrócił głowy. Stał tak i jakby coś wyczuwał. Moment ten zdawał się być wiecznością. „Nie patrz się tu, do cholery, nie patrz...” – powtarzał jak mantrę złodziej w myślach. Zimne krople potu spływały mu po szyi. Mokra dłoń trzymała gotowego do strzału Colta 1911. Serce łomotało w klatce piersiowej – to cud, że strażnik go nie usłyszał. Chociaż...

Marek biegł wciąż czując w nosie zapach prochu. Czuł ból w dłoni, którą szarpnął silny wystrzał. Wciąż bolały go jeszcze uszy, nieprzyzwyczajone do huków broni.

Biegł. Na początku przez oświetlone latarniami ulice. Co chwilę poprawiał wysuwające się spod pachy obrazy. Nie patrzył za siebie. Nie chciał przypominać sobie widoku wolno spływającej krwi i resztek mózgu po ścianie. Zatrzymał się i zwymiotował pod jedną z latarni.

Nie wiedział kiedy właściwie wkroczył na polanę koło rzeki. Szedł teraz o wiele spokojniej, wyrывая się z uchwytów ciernistych krzaków, które starały się za wszelką cenę zatrzymać złodzieja.

Stanął i spojrzał na ciemne wody Wisły. Stolica znowu kładła się do snu.

\*

Jesień tego roku była nadzwyczaj ciepła. Słońce wesoło rozgrzewało ziemię, po której ścieleł się gruby, złoty dywan liści spadających z drzew przy brzegu Wisły. Słońce wciąż wisiało wysoko, kiedy stary mężczyzna wszedł na most. Przychodził tutaj codziennie od dwóch tygodni, opierał się o balustradę i obserwował okolicę.

Pod wiaduktem od około godziny ciężko pracowało czterech ludzi z łopatami. Piąty – najdrobniejszy – rozkazywał im, gdzie mają jeszcze wbić szpadle. Po jego ruchach widać było, że jest bardzo zestresowany.

Dźwięk zgrzytającego metalu o metal rozszedł się po okolicy. Drobnego mężczyzna krzyczał, żeby teraz ostrożnie wyciągnąć znalezisko. Po chwili na ziemi obok dziury stała pordzewiała skrzynia. Mężczyzna pokręcił coś przy niej i zaraz potem otworzył z trudem skrzypiące drzwiczki. Patrzył przez chwilę w środek, dotknął drżąca dłonią czoła i szybko oddalił się kilka metrów dalej. Zdziwieni zachowaniem mężczyzny robotnicy zajrzeli do wnętrza skrzyni nic nie rozumiejąc.

Kilkanaście spróchniałych desek i siedem zniszczonych szmat smutnie poniewierało się po zardzewiałym i gdzieśgdzie dziurawym wnętrzu sejfu.

Stojący przy balustradzie mężczyzna tylko westchnął smutno.

***Marcin Romanik***

### III nagroda w kat. młodzięży

\* \* \*

Obudziłam się w dziwnym nastroju, czułam się nieswojo, serce biło mi szybko. Czułam niepokój, który nie pozwolił mi już zasnąć. To było dziwne, a jednak znajome uczucie. Podobne do tego, które pojawia się, gdy mamy wrażenie, że o czymś zapomnieliśmy. Gdy mamy jakąś ważną, niezałatwioną sprawę. Coś co ciąży nam na sercu, nie pozwala na popadnięcie w rutynę, odnalezienie się w zwykłym pędzie dnia. Coś co sprawia, że przez długi czas jesteśmy, rozkojarzeni, nieobecni. Lecz to co czułam to nie było całkiem to samo, nie miałam żadnych błahych spraw do załatwienia, nie zapomniałam o niczym, wręcz przeciwnie. Dręczyło mnie coś o czym nie mogłam zapomnieć, o czym nie dało się zapomnieć. Ten ciężar towarzyszył mi od wielu lat, gdzieś przy moim sercu spoczywa kamień. Ciężki kamień, który je uciska, a w takie dni jak ten, mam wrażenie, że je miażdży i że moje serce za moment przestanie walczyć i ustąpi miejsca temu kamieniowi, który sprawi, że już nigdy nic nie poczuje, że będę niewzruszona, że już do końca życia żadne ludzkie uczucia mnie nie dotkną. Może tak byłoby łatwiej, przestać czuć. Jednak moje serce jest uparte, jest silne, nie poddaje się, odpycha ten kamień. Dziś ten kamień urósł do rozmiaru głazu, naciska na moje serce a ono pracuje z podwojoną siłą by go odepchnąć. Im intensywniej pracuje tym więcej czuje, lecz nie są to miłe uczucia. Czuję niepokój, strach, cierpienie. Wspomnienia mnie przytłaczają, przytłaczają tak, że ciężko mi jest wstać z łóżka. Wszystkie te wspomnienia, cierpienia przywołane zostały za pomocą dzisiejszej daty. Mogłoby się wydawać, że to jedynie kolejny numerek w kalendarzu. Lecz wszyscy wiemy, że są takie dni, które obchodzimy inaczej. Dni, które w kalendarzu zaznaczone są na czerwono. Są to różne święta i uroczystości. Są w naszych kalendarzach takie daty, którym sami nadajemy wysoki priorytet. Są to takie okazje jak urodziny, imieniny, rocznice... Istnieje tyle różnych jubileuszy, okrągłych rocznic ważnych wydarzeń. Jakich wydarzeń? Przeróżnych. Mnie jednak słowo

„rocznica“ kojarzyło się zawsze głównie ze ślubami, ze szczęśliwymi ludźmi, którzy wspominają lata przeżyte razem i świętują je razem lub z bliskimi. Świętują dzień, w którym powstała ich dwuosobowa rodzina, która z czasem się powiększa o człowieka, który staje się częścią ich życia oraz tworzy nowe wspomnienia, do których można wracać po kolejnych latach wspólnego życia. Po kolejnych rocznicach. Rocznicach utworzenia nowej rodziny... Jednak pewnego dnia to miłe skojarzenie zastąpiło inne. Bez białej sukni, muzyki i radości w tle. Teraz rocznica kojarzy mi z czymś tragicznym, ze łzami, godzinami krzyków i miesiącami rozpacz. Właśnie dziś przypada taka rocznica, która powinna być zaznaczona w moim kalendarzu na kolor czerwony, szkarłatny. Na kolor krwi, której ubytek w ciele ludzkim nie oznacza nic dobrego, a czasem nawet coś bardzo złego. Czego konsekwencji nie da się odwrócić, czego skutki dotyczą często więcej niż jedną osobę. Gdy krwi ubędzie zbyt wiele, już nic nie da się zrobić, w pewnym momencie nie da się jej już uzupełnić, jest po prostu za późno... Ale ja nie zaznaczyłam tej daty w kalendarzu. Dla mnie ten dzień mógłby nie istnieć. Mógłby zostać wykreślony z kalendarzy. Lecz pewnie to też by nie pomogło. Ta data utkwiała w mojej głowie na zawsze, przypomina mi dzień, w którym mój cały świat legł w gruzach, zmienił mnie na zawsze. Nawet sny nie pozwalają zapomnieć mi o tym dniu, ponieważ w nocy znów śniła mi się tajemnicza postać w masce, uśmiechająca się do mnie szeroko, która budzi we mnie strach i nienawiść. Która zawsze przypomina mi, że mam pewną sprawę do załatwienia, że nie mogę tak po prostu dalej żyć, nie obracając się za siebie. Muszę wracać do przeszłości. Muszę wspominać. Zapomnienie byłoby zbyt egoistyczne. Muszę iść dalej, pamiętając o tym co się wydarzyło, pamiętając o tym, że muszę jeszcze coś zrobić, że jestem coś winna pewnym osobom, że jestem coś winna sobie. Że mam w życiu jeszcze jeden cel, bez dotarcia do niego nie odzyskam spokoju. Przecież wiem, że nie. Przez tyle lat próbowałam na wiele sposobów i nie czuję się spokojna. Mam na to jeszcze szanse, nikłe, ale muszę postarać się je wykorzystać, muszę próbować, tylko wtedy moje życie będzie miało sens. Może gdzieś we mnie znajdują się odpowiedzi na wszystkie pytania. Gdybym tylko potrafiła wydobyć je na zewnątrz... Znów pojawiają się wspomnienia, wciągają mnie,

są bardzo wyraziste, być może dlatego, że właśnie dzisiaj przypada dziesiąta rocznica dnia, w którym zamordowano moją rodzinę...

To był zwyczajny dzień, no może nie do końca zwyczajny. To był pierwszy dzień wakacji, który świętowałam z moimi znajomymi. Jak zwykle dobrze się z nimi bawiłam. Cieszyłam się, że rozpoczyna się najlepszy okres w roku, że w końcu będę mogła się wyspać. Jedynym negatywem było to, że ten okres trwa tylko dwa miesiące. Zanim się obejrzę znów będę siedziała w szkolnej ławce i zastanawiała się jak odnaleźć w sobie motywację do napisania niezwykle wyczerpującej pracy z języka polskiego, która na jakiś czas stanie się koszmarem dla mnie i moich koleżanek z klasy. Koszmarem, który będzie spędzał nam sen z oczu przez niejedną noc... Jednak postanowiłam odpędzić tę nieprzyjemną myśl i cieszyć się chwilą. Stwierdziłam naiwnie, że do końca wakacji jeszcze daleko. W wakacje czas leci szybko, ten dzień też szybko zleciał. Zasiedziałam się u koleżanki i zorientowałam się, że już jestem spóźniona do domu. Zazwyczaj nie miałam problemów z wychodzeniem z domu, ale kiedy się spóźniałam, zwłaszcza, gdy było już późno i ciemno moi rodzice zawsze bardzo się denerwowali. Napisałam wiadomość do mamy i popędziłam do domu. Byłam już niedaleko, z czujnością obserwowałam ciemny las otaczający moje osiedle. Moi rodzice byliby źli gdyby wiedzieli, że wracałam sama. Im ciemniej robiło się dookoła mnie tym bardziej przyspieszałam. W końcu dotarłam do odcinka drogi, na którym nie było już żadnych lamp. Położenie mojego domu z dala od wszystkich innych, na końcu drogi, którą otaczał las zawsze było dla mnie zaletą. Jednak tej nocy była to dla mnie wada. Nigdy nie bałam się ciemności spowijającej przestrzeń wokół mojego domu. Nigdy nie wydawała mi się straszna. Nigdy nie sądziłam, że może mi się przydarzyć tu coś złego, że las, w którym spędziłam te szczęśliwsze chwile dzieciństwa na zabawach z innymi dziećmi, który tak bardzo kochałam za jego tajemniczość, który uważałam za schronienie, choć wydawał się być tak ogromny jakby nie miał końca. Tamtej nocy ten las wydawał mi się straszny, wręcz przerażający. Bił od niego jakiś chłód, który mroził krew w żyłach. Ten las nie przypominał już mojej dziecięcej arkadii, lecz bezkresny ciemny ocean, który chce mnie pochłonać. Nigdy wcześniej nie odniosłam takiego wrażenia, ten fakt

jeszcze bardziej spotęgował moją panikę. W pewnym momencie zaczęłam biec, chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu, uciec od ciemnego oceanu, który mnie otaczał. Zatrzymałam się dopiero gdy usłyszałam, głośne piszczenie moich psów. Był to znak, że jestem blisko domu, że „niebezpieczeństwo“ już minęło. Szczekanie moich psów zawsze mnie uspakajało, jednak nie tym razem. Ich piski jeszcze bardziej mnie zdenerwowały. Weszłam na podwórko i podeszłam do kojca, w którym znajdowały się moje psy, które natychmiast rzuciły się na ogrodzenie i zaczęły piszczeć jeszcze żałośniej. Włączyłam latarkę w telefonie i weszłam do kojca, oświetliłam go i zauważyłam, że ogrodzenie jest pogryzione, że na podłożu widać próby kopania. Psy chciały uciec z kojca. Zwierzęta usilnie próbowały się z niego wydostać. Serce zaczęło mi bić jeszcze szybciej. Ruszyłam szybkim krokiem w stronę domu, nie zamykając kojca i nie zwracając już uwagi na psy, które podbiegły do bramy i obrócone w stronę ciemnego lasu warczały złowrogo. Gdy podeszłam do drzwi, miałam problem z opanowaniem drżenia rąk i z włożeniem klucza do zamka. Jednak po kilku sekundach, a może minutach mi się to udało. Weszłam do domu krzycząc głośno „Mamo!!!“ Nikt się nie odezwał, w żadnym z pomieszczeń nie paliło się światło. Nawet ich nie włączałam, biegałam tylko po domu, szukając oznak życia, wpadając do pustych sypialni moich rodziców, brata i siostry. Jednak nigdzie nie znalazłam żadnego z członków mojej rodziny. Pozostało tylko jedno pomieszczenie, do którego jeszcze nie zaglądałam - moja sypialnia. Chwiejnym krokiem poszłam w jej kierunku. Pamiętam, że otworzyłam drzwi, że na środku mojego pokoju coś się znajdowało. W tamtym momencie nie myślałam już logicznie. Byłam jak zagubione dziecko, którego otoczenie spowija gęsta mgła. Nie wiedziałam co znajduje się w moim pokoju, było zbyt ciemno, aby to stwierdzić, ale nie włączyłam światła. Powoli podchodziłam bliżej, choć było to kilka metrów, wydawało mi się, że miałam do pokonania długi dystans. Mrużyłam oczy, przyglądając się miejscu, w którym znajdowało się to tajemnicze „coś“. Wyciągnęłam rękę i podeszłam jeszcze bliżej. Pomysł sprawdzenia co znajdowało się w moim pokoju za pomocą dotyku, teraz wydaje mi się głupi i nie potrafię wytłumaczyć mojego zachowania, ale podchodziłam coraz bliżej a moja wyciągnięta do przodu ręka zaczęła drżeć. Właśnie w takich momentach jak tamten, oglądając



horrory powtarzałam zawsze „Nie idź dalej“ lub „Uciekaj“. Nic dziwnego, że bohaterowie filmów nigdy nie korzystali z moich rad, bo w tamtym momencie postąpiłam tak, jak to mają w zwyczaju bohaterowie filmowi. Podeszłam jeszcze bliżej i dotknęłam tego czegoś, co leżało na środku mego pokoju, gdy moje palce zetknęły się z włosami, straciłam kontakt z rzeczywistością. Przynajmniej tak mi się wydaje, ponieważ nie znam reszty historii tamtej nocy.

Obudziłam się krzycząc, wciąż czując popędzający mnie strach, gdy we śnie uciekałam przez ciemny las i wciąż mając przed oczami postać w masce z szerokim uśmiechem na ustach, która pochylała się nade mną i podawała mi dłoń, kiedy się potknęłam i upadłam na ziemię. Gdy mój krzyk ucichł, zaalała mnie kolejna fala strachu, wynikająca z faktu, że znajdowałam się w nieznanym mi pomieszczeniu. Wydawało mi się, że to nadal sen. Jednak o tym, że to nie sen uświadomiła mnie blada twarz z opuchniętymi oczami, która należała do mojej babci. Znajoma twarz nieco mnie uspokoiła. Siedziała obok, a ja nie wiem po jakim czasie od przebudzenia ją zauważyłam. Czas stał się dla mnie pojęciem względnym. Nie odróżniałam sekund od minut. Leżałam bez słowa, przyglądałam się tylko znajomej twarzy. Moja babcia wybuchnęła histerycznym płaczem i wyszła z pomieszczenia. Nie zareagowałam, nie czułam moich kończyn, nie umiałam nimi ruszyć. Wydawało mi się, że straciłam zdolność mowy, ale nic mnie to w tamtym momencie nie obchodziło. Nie zareagowałam także, gdy do pomieszczenia weszła obca kobieta. To co mówiła dotarło do mnie o wiele później. Znajdowałam się w szpitalu. Znalezione mnie dwa dni po tym, jak po powrocie do domu odnalazłam stos ułożony z ciał członków mojej rodziny. Byłam w dość ciężkim stanie, nikt nie wie co działo się ze mną przez te dwa dni. Leżącą na podłodze, w konwulsjach i umazaną we krwi, odnaleźli mnie policjanci, wezwani przez moich dalekich sąsiadów, którzy skarżyli się na psy. Zwierzęta nie przestawały szczekać i piszczeć nawet przez chwilę. W szpitalu znajdowałam się trzy dni, ponieważ właśnie tyle trwała śpiączka, wywołana najprawdopodobniej wycieńczeniem oraz bardzo silnym szokiem.

Niewiele pamiętam z następnych tygodni. Był to stan odrętwienia, budziłam się, jadłam lub byłam karmiona i znów spałam. Po wyjściu ze

szpitala zamieszkałam u dziadków, którzy się mną opiekowali, choć sami potrzebowali opieki. Później dowiedziałam się, że korzystali z pomocy psychologa. Podczas trwania mojego „odrętwienia“ działo się wiele rzeczy, którymi wtedy nie byłam w stanie się zainteresować. Odbył się pogrzeb mojej rodziny, czyli mojej mamy, mojego taty, brata oraz siostry. To właśnie te osoby straciłam tamtej nocy. To ich krwią byłam ubrudzona, kiedy mnie znaleziono. Przeprowadzono śledztwo, z którego pamiętam tylko urywki rozmów z jakimś policjantem. Pamiętam to, bo wtedy na chwilę wracałam do żywych. Chciałam pomóc, bardzo chciałam pomóc ale nie potrafiłam. Policja nie ustaliła nic konkretnego. Nie było żadnych śladów, nikt nic nie słyszał, nikt nic nie widział. Znaleziono jedynie zamazane ślady butów na podwórku, co pomogło ustalić jedynie tyle, że morderca prawdopodobnie działał w pojedynkę. Po jakimś czasie stwierdzono, że mógł to być jakiś ćpun, który przesiadywał w pobliskim lesie. Teoria była taka, że pod wpływem narkotyków, wszedł do mojego domu i zamordował moją rodzinę, Drzwi mogły być pozostawione otwarte dla mnie, a on mógł skorzystać z okazji. Takie wytłumaczenie odpowiadało policji, ponieważ krótko przed wypadkiem w lesie widywano młodzież, często pod wpływem alkoholu, być może nawet narkotyków. Często zaczepiali przechodniów, zachowywali się dziwnie, niekiedy agresywnie, ludzie w końcu zaczęli unikać tego lasu. Konsekwencjami tego „nieszczęśliwego wypadku“, czyli wymordowania mojej rodziny, były patrole prowadzone przez jakiś czas na terenie lasu. Jednak gdy nie zauważono nic podejrzanego, zaprzestano ich. Wytłumaczenie, że zrobił to ćpun, pasowało do sprawy, tym bardziej że, jak stwierdzono po ekshumacji zwłok, ktoś kto to zrobił musiał być co najmniej niezrównoważony psychicznie lub w działaniu amoku, podobnym do stanu po zażyciu niektórych narkotyków. Co dokładnie wykazała ekshumacja nie wiem do tej pory. Do tej pory nie chce wiedzieć, boję się, że ten ktoś zrobił im coś jeszcze gorszego niż jestem w stanie sobie wyobrazić. Nie potrafię o tym myśleć. Nie chcę tego roztrząsać. Co on im zrobił? Nie nie chcę wiedzieć. Tak jest łatwiej, chcę myśleć, że to była szybka, bezbolesna śmierć, nawet jeśli się oszukuje, chyba tyle mogę zrobić dla samej siebie. To chyba nie jest, aż tak samolubne. Prawda? Czasem zastanawiam się co takiego strasznego zrobiłam przez te 16 lat mojego

życia, że nie mogłam zginąć z nimi, że musiałam tu zostać, że musiałam ich znaleźć, że nie mogę być teraz z nimi, tam gdzie teraz się znajdują. Jeśli po śmierci naprawdę trafia się do raju, oni teraz nie mają żadnych trosk i cierpień, a ja zostałam sama z tym bagażem, którego nawet nie jestem w stanie unieść. A co dopiero iść z nim naprzód. To, że zostałam tu sama musi być karą, a może mam tu coś jeszcze do załatwienia, może potem do nich dołączę...

Kolejne dni nie różniły się niczym od siebie, wszystkie wyglądały tak samo. Każdej nocy śnił mi się ten sam sen, ta sama twarz w masce. Ja sama żyłam jak we śnie, żyłam w innym świecie, gdzieś pomiędzy jawą a snem, tym wciąż prześladowującym mnie snem. Nie wierzyłam w to co się stało, nie dopuszczałam do siebie tej myśli. W końcu musiałam wrócić do szkoły. Pamiętam pełne współczucia spojrzenia. To jak wszyscy się nade mną litowali. Byli miłsi niż kiedykolwiek przedtem, ale nie zwracałam na nich uwagi. Nic mnie nie obchodziło, nie docierały do mnie żadne bodźce zewnętrzne. Moje życie stało się schematyczne. Tylko dzięki temu schematowi potrafiłam funkcjonować. Wstawałam, myłam się, jadłam, chodziłam do szkoły, wracałam, jadłam, sprzątałam, uczyłam się. Zazwyczaj uczyłam się dość długo, po prostu nie miałam ciekawszych zajęć. Staralam się wypełniać czas, czymkolwiek, byleby nie myśleć. Najgorsze były weekendy, zawsze spędzałam je ze znajomymi lub z siostrą... W pewnym momencie zorientowałam się, że już nie mam znajomych. Pewnie dlatego, że z nikim nie rozmawiałam. To oni starali się utrzymywać ze mną kontakt, jednak po wielu nieudanych próbach dali za wygraną. Kiedy dom mojej babci lśnił już czystością (mój dom stał się nieużytkiem, nawet nie wiedziałam co się z nim dzieje), gdy psy zostały już wyprowadzone, gdy zapoznałam się z materiałem, który miałam omawiać w szkole przez najbliższy miesiąc i gdy nie miałam już kompletnie nic do robienia, nadchodził czas na zmierzenie się z rzeczywistością. Z tym, że moi najbliżsi nie żyją i że po wielu miesiącach od tego wydarzenia nie otrząsnęłam się jeszcze z szoku. Że morderca jest na wolności, że nie wiem kim jest i czy działał z premedytacją. Gdyby nie to, że przez większość czasu nie docierały do mnie żadne uczucia, pewnie bym się bała. Pozwalałam sobie na strach, lzy i cierpienie właśnie podczas tych chwil,

w których nie miałam nic do robienia i w których musiałam uwolnić moje myśli. Nie chciałam rozmawiać o moich uczuciach z psychologiem, z którym widywałam się raz w tygodniu. Nigdy się przed nim nie otworzyłam, nigdy przy nim nie zapłakałam. Co nie oznacza, że nie płakałam. Płakałam często, co wieczór, w ciągu dnia, zawsze wtedy, kiedy zostawałam sama z moimi myślami. Najgorsza była tęsknota. Tak strasznie za nimi tęskniłam. W takich sytuacjach zawsze próbowałam sobie przypomnieć te złe chwile, chwile w których miałam ich dość. Przypominałam sobie moje wczesne dzieciństwo, które nie było usłane różami. Dzieciństwo, które nie było zbyt szczęśliwe za sprawą mojego taty... Dzieciństwo pełne strachu, przesiadywania w kącie pokoju, w którym siedziałam wtulona w lalkę, udając, że się nią bawię, nawet jeśli nie miałam na to ochoty. W przeciwnym razie On krzyczał, mówił, że powinnam się bawić, że muszę się bawić, inaczej odda wszystkie moje zabawki. Przypominałam sobie jak stałam w przejściu pomiędzy jednym pokojem a drugim, oglądając telewizję i obracając się za siebie, żeby sprawdzić, czy On nie nadchodzi. Myślałam o tym, jak byłam zmuszana do jedzenia, jak wymiotowałam, a potem wracałam do stołu, żeby dokończyć posiłek. Odtwarzałam w pamięci strach jaki czułam, kiedy ktoś znajdował się za moimi plecami, wywołany tym, że On zawsze klepał mnie w plecy przechodząc za mną. Kiedy pojawił się mój brat, stałam się dla niego kimś w rodzaju służącej. Całymi dniami przesiadywałam w dziecięcej piaskownicy, spełniając każdy rozkaz mojego młodszego brata. Całymi dniami czekałam jedynie, aż się ściemni. Gdy zaczęłam chodzić do szkoły szybko ją polubiłam. Nie lubiłam jedynie z niej wracać... Zawsze bałam się wakacji, drugiego miesiąca wakacji. Pierwszy miesiąc wakacji spędzałam u cici i właśnie jej zawdzięczam najlepsze wspomnienia z dzieciństwa. Drugi miesiąc wakacji był jak pobyt w więzieniu... Niestety, te wspomnienia nie pomagały mi w uporaniu się z tęsknotą, ponieważ w końcu mój tata zaczął mnie doceniać. Do tego przełomowego momentu minęło wiele lat, lecz w końcu zaczął traktować mnie jak córkę. Chyba zorientował się, ile obowiązków domowych przejmuje i jak bardzo staram się być dobrym dzieckiem. Stałam się dla niego cennym członkiem rodziny. Dziewczynką, która radzi sobie z naprawdę wieloma rzeczami, nawet takimi, które zazwyczaj wykonują

tylko dorośli. Wynikało to z tego, że zawsze chciałam pokazać, że też jestem ważna, że też coś potrafię, że nie jestem tylko ciężarem, za który uważał mnie mój tata. W końcu przestałam nim być, zaczęłam dogadywać się z tatą jak nigdy przedtem. „On“ stracił stary pseudonim i zyskał nowy, a mianowicie - tata. Zaczął być moim przyjacielem, nie wiem dokładnie dlaczego wszystko tak nagle się zmieniło. Wiem jednak, że gdzieś po drodze wybaczyłam mu to, że kiedyś mnie nie chciał, że traktował mnie jak zbędny balast i na każdym kroku okazywał swoją niechęć. Przebaczenie jest niesamowitym zjawiskiem. Jeżeli naprawdę i szczerze się komuś wybacza, przeżywa się prawdziwe oczyszczenie, to jakby zacząć życie od nowa. I właśnie tak było ze mną, Zaczęłam nowe życie, mój tata chyba też, bo w moich oczach stał się całkiem innym człowiekiem. Już nie wrogiem a przyjacielem. Dlatego nawet te najgorsze wspomnienia nie zmniejszyły mojego cierpienia, a jedynie je spotęgowały. Myślałam jakie to niesprawiedliwe, że tak niedawno odzyskałam tatę, coraz lepiej się z nim dogadywałam i gdy staliśmy się naprawdę szczęśliwą rodziną, ktoś to wszystko zrujnował. Myślałam o braku reakcji ze strony mojej mamy, o tym, że nigdy mnie nie obroniła. Ale to też nie pomagało, bo jej też już dawno wybaczyłam. Myślałam o bracie, z którym musiałam spędzać każdą wolną chwilę, był taki malutki, bezbronny, a teraz już go nie ma... Najtrudniej było mi się uporać z tęsknotą za starszą siostrą, która zawsze była moim aniołem. Moją najlepszą przyjaciółką i towarzyszką niedoli, której dzieciństwo nie było łatwiejsze od mojego. Mimo to zawsze się mną opiekowała, zawsze mnie wspierała i pocieszała. Była osobą, która zawsze była przy mnie kiedy było źle, kiedy płakałam, kiedy miałam już dość. Zawsze była obok, zawsze mnie przytulała i nagle zniknęła, straciłam mojego anioła stróża... Kiedy przypominanie złych wspomnień nie pomagało, a od ciągłego płaczu paliło mnie w gardle, zawsze myślałam o jeszcze jednej rzeczy. Mianowicie o tym, że istnieją miejsca na świecie, gdzie ludzie codziennie tracą bliskich, że gardło pali ich nie tylko od łez, ale też od pragnienia. Gdzie całymi dniami starają się o przetrwanie. Gdzie cierpienie jest stałym elementem życia każdego człowieka. Pewnego dnia podczas moich przemyśleń, doszłam do wniosku, że ci ludzie cierpią na co dzień tak jak ja, że nie patrzą na siebie z litością, bo wszyscy cierpią z tych

samych powodów. Pomyślałam, że wśród tych ludzi czułabym się lepiej, niż w moim dotychczasowym otoczeniu, w którym znajdują się osoby, które mnie do końca nie rozumieją, nie wiedzą jaką pustkę czuję, jak ciężko jest powstrzymać łzy. Właśnie tamtego dnia postanowiłam, że kiedyś odwiedzę tych ludzi, cierpiących codziennie, tak jak ja, że muszę wyjechać i nabrać dystansu do pewnych spraw. Że przyda mi się ucieczka od tego miejsca, gdzie wszystko przypominało mi moją rodzinę...

Kilka miesięcy po podjęciu decyzji, siedziałam już w autobusie, który jechał przez Afrykę do wioski, w której miałam zostać wolontariuszem. Gdy po ukończeniu szkoły oświadczyłam babci, że chcę wyjechać na misję, że muszę uciec, odpocząć, pozbierać myśli, nie miała nic przeciwko. Nie odpowiadał jej jedynie cel mojej podróży, czyli Afryka. Szybko zajęłam się załatwianiem formalności i w końcu wyruszyłam w moją podróż. Wioska, do której mnie wysłano, nie była w tak tragicznym stanie, jak to sobie wyobrażałam. Zapewne organizatorzy misji wysłali mnie do tego miejsca, aby mnie na początku nie zniechęcać, w końcu byłam jeszcze młoda i była to moja pierwsza misja. W wiosce tej mieszkało kilkoro ludzi, którzy potrafili komunikować się w języku angielskim. Wszyscy mieszkańcy byli dość cywilizowani. Higiena nie była im zupełnie obca. Nie była to najbiedniejsza wioska w Afryce co nie oznacza, że jej mieszkańcy nie mieli problemów, że nie musieli walczyć o przetrwanie. Po pewnym czasie zorientowałam się, że mieszkańców osady dość szybko ubywa. Prawie codziennie ktoś tracił życie, głównie za sprawą chorób i braku lekarstw. Zdarzało się jednak, że ktoś opuszczał wioskę tylko na chwilę, ale już nigdy nie wracał... W takich miejscach jak to, śmierć nie dawała o sobie zapomnieć i jeżeli w ogóle istnieje możliwość oswojenia się ze śmiercią, to istnieje ona właśnie w takich miejscach jak to. W miejscach, w których ludzie codziennie ocierają się o śmierć... Pamiętam pierwszą noc, którą spędziłam w Afryce, w namiocie. O dziwo nie czułam strachu, ani przed chorobami, ani przed dzikimi zwierzętami, ani przed nowymi doświadczeniami. Strach pojawił się dopiero, gdy zasnąłam. Dopiero, gdy znów zobaczyłam postać w masce. Nawet tak daleko od domu prześladował mnie mój koszmar, zawiodłam się. Miałam nadzieję, że mogę zostawić wspomnienia i postać w masce za sobą. Niestety okazało się, że będą mi towarzyszyć w każdej podróży...

Podczas pobytu w Afryce nie miałam zbyt wiele czasu na rozmyślanie, zawsze było coś do zrobienia. Pamiętam, że jednym z moich ulubionych zajęć, choć ciężko w to uwierzyć, były wędrówki po wodę, które odbywałam z innymi kobietami i wolontariuszami. Było to wyczerpujące zajęcie, piasek pod stopami parzył, a słońce grzało niemilosiernie, ale właśnie dzięki tym wędrówkom czułam, że robię dla tych ludzi coś ważnego. Dla nich i dla siebie, ponieważ dzieliłam ich los. Stałam się częścią ich społeczeństwa. Czasem woda była przewożona samochodami, ale kierowcy nie zawsze mieli na to czas. Musieli w końcu dowozić pożywienie i lekarstwa do wielu innych wiosek. Uczylałam się od mieszkańców wioski, jak przeżyć w Afryce. Zawsze starałam się im pomagać, jak mogłam. Myślę, że dość szybko mnie zaakceptowali, mimo że się od nich różniłam, że posługiwałam się językiem, którego większość z nich nie znała. Czasem jednak nie trzeba słów, aby się porozumieć, zresztą im dłużej z nimi przebywałam tym więcej rozumiałam. Przebywając z bardziej doświadczonymi wolontariuszami zawsze namawiałam ich do zdradzenia mi kilku słów w języku mieszkańców wioski. Z czasem nauczyłam się podstawowych zwrotów. Z tych kilkorga mieszkańców wioski, którzy znali język angielski, najlepiej posługiwała się nim pewna starsza kobieta. Była lubiana i szanowana. Wszyscy przychodzili do niej porady, wierzyli, że potrafi ona odczytywać sens snów... Nie wierzyłam w to, lecz ja także uważałam, że ta staruszka zasługuje na szacunek. Na początku podchodziłam do niej z dystansem, lecz po jednej rozmowie z nią, dystans ten znacznie się zmniejszył. Themba (tak miała na imię kobieta) po polsku oznacza „zaufanie“ i właśnie zaufanie wzbudziła we mnie ta kobieta. Poza tym zaimponowała mi biegłą znajomością języka angielskiego, opowiedziała, że nauczyła się go, gdy była młodsza i mieszkała w wiosce, w której amerykańska organizacja charytatywna założyła szkołę. Właśnie dzięki tej szkole odkryła w sobie chęć do zdobywania wiedzy. Nie rozumiałam jedynie jak tak a mądra i rozsądną osobą, może wierzyć, że posiada moc odczytywania sensu snów. Pewnego razu zapytałam o to jednego z wolontariuszy, który powiedział, że Themba nie posiada żadnej mocy, że jej działanie polega na skutecznym wprowadzeniu w stan hipnozy i poszukiwaniu źródła snów lub koszmarów. Zdziwiłam się, gdy to usłyszałam, ponieważ takie metody psychoanalizy

stosują ludzie, którzy przygotowywali się do tego wiele lat i szczegółowo znają ludzki umysł. Jak to udawało się kobiecie która wychowała się na pustyni? Nigdy nie miałam zamiaru przekonać się o tym na własnej skórze, aż do pewnego momentu. W jedną z nocy znów przyśnił mi się mój koszmar. Jednak tym razem silniej na mnie wpłynął, tak silnie, że obudziłam się z krzykiem zalana łzami. Musiałam tłumaczyć, że to tylko zwykły koszmar, jakich wiele, ale nikt mi nie uwierzył. Właśnie po tym incydencie doszłam do wniosku, że mam dość koszmaru, który przyśnił mi się setki razy, a który dalej mnie przeraża. Jak nigdy wcześniej, chciałam się go pozbyć. Następnego dnia udałam się do Themby. Gdy wyjaśniłam, jaki jest cel mojej wizyty, kobieta uśmiechnęła się i potrząsnęła przytakująco głową. Zapytała się, czy jest chęć jej opowiedzieć, o czymś co mogłoby ułatwić jej zdanie. Czy wiem co mogło wywołać pojawienie się tego powtarzającego się wciąż snu. Zawahałam się przez moment, lecz w końcu pomyślałam, że nie mam nic do stracenia, że to tylko próba, że nic się nie stanie jeżeli się nie uda. Jeżeli miałam się komuś zwierzyć to wołałam zwierzyć się właśnie tej kobiecie, która sama wiele wycierpiała w życiu i która codziennie ma do czynienia ze śmiercią, niż jakiemuś wykwalifikowanemu psychologowi. Więc opowiedziałam moją historię, nie bez trudu, nie bez łez, ale ją opowiedziałam, w końcu komuś się wyzaliłam. Opowiedziałam o swoich lękach i cierpieniach. Zrobiło mi się trochę lżej. Następnym krokiem miało być wprowadzenie w hipnozę, do tego podeszłam z większym oporem, lecz w końcu doszłam do wniosku, że po to tam przyszłam. Była to moja pierwsza, ale nie ostatnia sesja hipnozy podczas pobytu w Afryce... Do końca trwającej rok misji regularnie odwiedzałam Thembę, a wizyty u niej stały się pierwszą skuteczną terapią psychologiczną z jaką miałam do czynienia. Nie było mi łatwo opuścić Afryki i jej mieszkańców, a zwłaszcza jednej mieszkanki. Jednak nie wyjeżdżałam nic nie osiągnąwszy, odnalazłam tam swój cel.

Gdy wróciłam z Afryki podjęłam odpowiednie kroki, by zatrudnić się w jednej z organizacji charytatywnych, w której przyjęto mnie na staż. W czasie jego trwania podjęłam edukację niezbędną, do podjęcia pracy w tego typu instytucji. Kolejną rzeczą, którą postanowiłam zrobić po powrocie do domu było zapisanie się na terapię do człowieka, który stosuje



hipnozę, długo szukałam odpowiedniej osoby, lecz w końcu ją znalazłam. Po pierwszym naszym spotkaniu, doszedł do takiego samego wniosku co moja przyjaciółka z Afryki. Mianowicie, że spokoju nie daje mi fakt, że zabójca wciąż jest na wolności. Że nie znane są jego motywy, że człowiek, który pozbawił życia moich bliskich nie został ukarany. Że jest na wolności i wkrótce może znów kogoś skrzywdzić lub już to zrobił, bez względu na to czy był to psychopata czy ćpun (oczywiście zakładaliśmy, że sprawca jest jeden, ponieważ do takich wniosków doprowadziło policję śledztwo). Zaczęliśmy szukać odpowiedzi na pytanie kim jest, albo kogo symbolizuje mężczyzna w masce z moich snów. Mój psycholog stwierdził, że odpowiedzi można poszukać w okresie którego nie pamiętam, czyli w tych dwóch dniach, które przeleżałam na podłodze przy zwłokach moich bliskich. Na początku nie chciałam się na to zgodzić, lecz później doszłam do wniosku, że zrobiłam zbyt duże postępy aby teraz wszystko poszło na marne, choć tyle mogłam dla Nich zrobić. Na początku skutkami hipnozy były tylko, łzy, ból i cierpienie. Po kilku miesiącach prób zaczęłam się oswajać z wspomnieniami, było coraz łatwiej, zaczęły pojawiać się rozmazane obrazy, ciemność, światła, jakieś hałasy. Mój psycholog twierdził, że to dobre znaki. Jednak prawdziwy przełom nastąpił po ponad roku terapii. Podczas jednej z hipnoz przeniosłam się w inne miejsce. Leżałam na podłodze, było ciemno czułam nieprzyjemny zapach. Próbowałam się podnieść, ale nie mogłam, bolała mnie głowa. Zauważyłam, że coś się poruszyło, a potem zobaczyłam pochylającą się nade mną postać, postać w masce, uśmiechającą się lekko, trzymającą w dłoni zakrwawiony nóż... Próbowałam się podnieść, krzyczeć, ale nic nie mogłam zrobić. Jedyne co mogłam zrobić, to obrócić twarz w drugą stronę, co nie okazało się nie najlepszym pomysłem, ponieważ gdy się obróciłam zobaczyłam twarz mojej martwej siostry...

W dniu dziesiątej rocznicy nie bez bólu przywołuję te wspomnienia. Od tej pamiętnej terapii minęło pięć lat. To co wtedy zobaczyłam nie pomogło odnaleźć człowieka odpowiedzialnego za śmierć moich bliskich. Nie wiem nawet, czy było to prawdziwe wspomnienie, czy to mój umysł wytworzył nierealne wspomnienie. Po tej terapii jeszcze wiele razy próbowałam hipnozy, lecz już nigdy nie zobaczyłam nic nowego, nic przydatnego. Wciąż

chodzę na terapie, ale nie przynoszą one już żadnych nowych efektów. Co nie zmienia faktu, że wciąż będę próbowała. Przez te dziesięć lat wiele się wydarzyło, wyjechałam na kilka kolejnych misji, między innymi do Afganistanu, gdzie ludzie umierali na moich oczach... Odwiedziłam też starych przyjaciół z Afryki. Wciąż pracuję w organizacji charytatywnej. Jednak moim głównym celem jest odnalezienie zabójcy moich bliskich, jednak tracę już nadzieję, że kiedykolwiek mi się to uda. Terapia już nie pomaga. Staralam się odnaleźć we wspomnieniach osoby, które mogłyby to zrobić. Przeanalizowałam już wszystkie wspomnienia. Szukałam sprawcy nawet wśród osób które znam i wśród tych, które znałam. Nie przyniosło to żadnych efektów. Ale nie poddam się, nigdy nie przestanę przeszukiwać mojego umysłu... Wiem, że człowieka, który to zrobił, którego najprawdopodobniej już w życiu spotkałam( przynajmniej tak wynika z tej pamiętnej hipnozy), czeka kara. Jeżeli nie w tym życiu, to w pozaziemskim, ale chciałabym dopilnować, żeby jak najszybciej rozpoczęło się dla niego wieczne potępienie. Wiem, że sama wspominałam, że wybaczenie oczyszcza, ale jeszcze bardziej oczyszczająca byłaby myśl, że ten psychopata poniósł karę, że nikogo już nie skrzywdzi. Że pochłonął go ogień piekielny...

Jedną z najbardziej bolesnych tradycji związanych z rocznicą śmierci moich bliskich jest wizyta na cmentarzu. Strasznie ciężko jest mi patrzeć na nagrobek, na którym wypisane są cztery imiona i jedna data śmierci. Lecz gdy patrzyłam na ten nagrobek zauważyłam dziwną rzecz, a mianowicie kopertę, położoną pod jednym ze zniczy. Poczulałam znajomy niepokój. Drżącą ręką sięgnęłam po kopertę, otworzyłam ją i wyjęłam z niej kartkę papieru. Przeczytałam widniejący na niej tekst:

*Wszystkiego najlepszego z okazji dziesiątej rocznicy. Doszedłem do wniosku, że na okrągłą rocznicę tak ważnego wydarzenia wypada ofiarować prezent. Dziesięć lat to mnóstwo czasu, szkoda, że nie udało Ci się go należycie wykorzystać. Niech prezentem będzie świadomość, że się nie mylisz, że Twój umysł podpowiada Ci prawidłowe rozwiązanie zagadki. To już dziesięć lat, zacznij starać się bardziej. Niech ten jubileusz milowym będzie kamieniem...*

**Arleta Gruba**

## Niech ten jubileusz milowym będzie kamieniem...

Jako nastolatek marzyłem o byciu muzykiem. Wszyscy twierdzili, że to zawód bez przyszłości. Powtarzano mi „James, powinieneś kontynuować rodzinną tradycję. Ród rodziny Blount posiada niekwestionowane zasady“. I tak też się stało. Tuż po ukończeniu studiów musiałem stać się jednym z członków Armii Brytyjskiej. Ojciec zdawał się zadowolony z decyzji. Byłem bardzo młody, ale nie chciałem pogorszyć stosunków z rodziną. Uniosłem głowę do góry i udałem się do oddziału wojskowego. Muszę przyznać, że uczęszczanie na licencjat z socjologii było wówczas dopiero początkiem identyfikowania się z społeczeństwem. Okres stacjonowania w Kosowie i doświadczenia z Jugosławii w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku... Do tej pory napadają mnie wspomnienia i twory wyobraźni. A może nawet nie wyobraźni, a rzeczywistości ludzkiego bólu. Wizerunek głodu, udręki i niesprawiedliwości na twarzach bezbronnych ludzi. Widziałem wiele i pomogłem wielu. Lecz nigdy wystarczająco. Po sześciu latach wypisałem się z wojskowej służby. W ten sposób oddałem pieniądze rodzicom za studia i spełniłem tradycję. Muzyka towarzyszyła mi przez cały czas. A może dopiero wtedy, kiedy dowiedziałem się jak chwycić struny gitary. Wiozłem ją czasami nawet w wojennych wozach transportowych. Niewiele miałem możliwości w rodzinnym domu. Wiedzę nabywałem więc wśród rówieśników. Ukradkiem pisałem poetyckie teksty, tworzyłem rymy. Melodie przechodziły przez umysł, a uczucia wkradały się do serca. Zdecydowałem ujawnić swój głos na przesłuchaniu w mojej okolicy. Czasami cierpienie innych i szczególnie nasze cierpienie motywuje myśli do zrobienia czegoś więcej. Codziennie powtarzamy te same czynności. Wpatrujemy się w lustro z poczuciem niespełnienia. Nigdy nie

wiedziałem z czego to wynika. Być może dzieje się tak, gdy marzenia gdzieś zagubione toną w szarości dni. Moje myśli tej nocy były niespokojne. Rozbiegane i chaotyczne. Gdzieś w oddali słyszałem głos, a może działa się to tylko w mojej głowie. Podpowiadał mi, aby dać z siebie jak najwięcej. Tak zaczęła się moja historia z muzyką.

Dostrzegła mnie. Lindy Perry – producentka, kobieta młoda i atrakcyjna. To był początek dla niej. To był początek dla mnie. Nie zawahała się i zaproponowała mi współpracę. Nadajesz się, kolego. Już mnie uwielbiała. A może nie mnie, a mój głos. Po prostu pokazywałem swoje emocje w muzyce. Jednak ktoś musiał mi akompaniować. Muzyka to nie tylko wokalny utwór. To brzmienie i współgranie wszystkich elementów. Wkrótce poznałem nowych członków, którzy dołączyli do mnie. Ben Castle, Karl Brazil, a dwa lata później – John Garrison. Byli wspaniali. Nie nadaliśmy żadnej nazwy zespołu. Po prostu byliśmy dla siebie, dla innych, dla muzyki.

Chciałem umieścić na płycie singiel całkiem inny, niż wybrany przez producenta. Wkrótce usłyszeliśmy niesłychane wieści. Gratuluję. „You’re beautiful“ stał się hitem. Również teledysk cieszy się dużą popularnością. Wiadomości te słyszałem, ale nie docierały jeszcze do świadomości. Nie tylko hit w Wielkiej Brytanii, a przebój Europy, nawet Stanów Zjednoczonych! Chłopaki z zespołu byli wniebowzięci. Uczciliśmy nasz sukces czym prędzej. Wypiliśmy za nasze zdrowie, za zdrowie słuchaczy. Media. Cóż innego może sprawić, że wszystko dociera w sposób tak łatwy i ekonomiczny. Ludzie na świecie mają możliwość na wyciągnięcie ręki chwycić muzykę, kosztować się nią, współodczuwać i cieszyć. Naprawdę to wspaniałe uczucie móc podzielić się energią duszy, głosem i twórczością. Nasza płyta posiada zabawną nazwę - „Back to bedlam“. Pewnego dnia hasło to przyszło mi do głowy i tak pozostało. Do tej pory nikt nie ma pojęcia dlaczego nazwa dotyczy domu wariatów. Chyba sam nie jestem tego pewien. Tak jak i loga – komicznej małpki z koroną. Był to zwyczajny mój kaprys, ażeby nie pokazywać swojej twarzy jak robili to inni muzycy. Nie chciałem być rozpoznawalny pod względem osoby. Chciałem i chcę nadal, aby muzyka docierała do serc ludzi. Nic więcej nie potrzebuje.

Pierwsza płyta nosi ze sobą w większości utwory melancholijne, refleksyjne, ale równocześnie melodia nie usypia. A chociażby mam taką nadzieję. To przez akustyczny wymiar albumu. Wiele można dowiedzieć się o autorze, gdy przewertujesz utwory. Gdy masz chociaż małą umiejętność czytania między wierszami... Jestem pewien, że odnajdziesz drugie dno. Sporo zmieniło się przez dziesięć lat mojej działalności. Działalności mojej i zespołu. Zmieniła się muzyka, jej tempo, różnorodność. Nauczyłem się grać na gitarze elektrycznej co spowodowało więcej możliwości. Chociaż styl zawsze pozostaje w podobnym klimacie. Nie tylko muzyka, a moja osobowość nabrała dystansu. Zaznałem wielu doświadczeń. Bolesnych i tragicznych. Kiedyś korzystałem więcej z młodości. A podczas tras koncertowych mój zespół również był bardziej energiczny. Jednak to nie znaczy, że teraz brakuje nam intensywności i motywacji. Ba, mamy jej w nadmiarze. Nasi fani i słuchacze dodają ogromnej mocy. Tak samo jak i muzyka. Nie wiem czy byłbym w stanie pozbyć się i uciec od tego wszystkiego. Dwie pierwsze płyty powstały jako efekt nieszczęścia, które zasmakował każdy z nas. Mówię tutaj o nieszczęśliwej miłości, ale także o prawdach życia i ogólnie mówiąc o stosunkach międzyludzkich. Zbyt dużo widziałem, żeby nie móc o tym nie napisać. Trzeci album nabiera nuty wigoru i radości. Czwarty, mój ostatni na tę chwilę, został utworzony przy współpracy producenta „Back to Bedlam“. Toteż można się domyślić, że tonacja płyty jest wszechstronna, lecz podobna do pierwszej. Usłyszysz tam historię o bólu, radości, nadziei i prawdzie. Wszystko ująłem z chłopakami w repertuar przeróżnych emocji. Co prawda, zmieniło się dwóch członków zespołu, ale również oni są rewelacyjni. Doskonale rozumieją całokształt mojej twórczości. Sami stają się też jej częścią.

Muzyka łączy serca, uczucia. To niesamowite, kiedy widzę oddziaływanie ludzi na muzykę. Jestem w stanie dostrzec to na koncertach. Nieważny staje się fakt, że ludzie nie znają siebie nawzajem. Muzyka jest niczym język bez względu na pochodzenie, orientację czy kolor skóry. Czuję się pewny na scenie. Myślę, że najlepsze w byciu muzykiem nie jest sława, a rzeczy, którymi możesz się podzielić. Nigdy nie uważałem się za gwiazdę. Jestem po prostu sobą. Moim powołaniem było to, co robię teraz. Nigdzie nie czuję się lepiej. Wspaniale jest kiedy wiesz, że ludzie śpiewają razem

z tobą. Kiedy przyszli nie tylko po to, by pojawić się fizycznie. Kiedy przyszli, aby doświadczyć magii muzyki. Zdumiewające jest zgranie publiczności z zespołem. Chociaż gramy z chłopakami od wielu lat za każdym razem nie potrafię się nadziwić.

Ludzie stwierdzili, że potrafię radzić sobie z złymi opiniami. Moja działalność muzyczna doświadcza również gorszych opinii, nie mówiąc już o plotkach w massmediach. Toteż na portalach internetowych kieruję się ripostą, ironią i komicznym brytyjskim poczuciem humoru. Zaproszono mnie do telewizji BBC. Naprawdę nie wiedziałem, co o tym myśleć. Dowiedziałem się, że zostałem uznany za jednego z najlepiej odpowiadających na złośliwe komentarze. Udzielono mi wywiadu. Było bardzo groteskowo i satyrycznie. Później wraz z zespołem stwierdziliśmy, że nic nie jest dla nas przeszkodą. Przecież jesteśmy ze sobą od dziesięciu lat. Ciągłe mówię o tym co jest teraz. Jednakże to wszystko nie było łatwe. Z początku występowałem przed koncertami głównych artystów wieczoru. Miałem przyjemność poznać Eltona Johna. Do tej pory bardzo szanuję go. To utalentowany muzyk.

Moje myśli są naprawdę roztargnione. Jestem wielowątkowy. Na moim koncie mam około siedemdziesiąt utworów. Mnóstwo czasu spędziłem razem z zespołem w studiu. John Garrison jest dla mnie najbliższy z wszystkich chłopaków. Wspieram go, kiedy tworzy swoją własną muzykę i wokal. On również nauczył mnie paru rzeczy. W ten sposób godziny przeznaczone na studiu nie były czasem straconym. Dopracowaliśmy wiele rzeczy, lecz nie wszystko. W jednym z utworów można usłyszeć mój śmiech. Chociaż jest niski i cichy – nagrał się na płytę. Nie chcieliśmy tego zmieniać. Postanowiłem być naturalny. Przecież muzyk jest też człowiekiem, takim jak ty czy ktokolwiek inny.

Być może istotne byłoby opowiedzenie o tym jak powstawały teledyski. Muzyka to jedno, klip to drugie. Ostatni singiel „Bonfire Heart“ został utworzony w sposób niespotykany. Jechałem moją ukochaną maszyną – harleyem - na Togwotee Pass w Ameryce. Pytaliśmy spotykanych ludzi czy chcą zagrać w teledysku. Podchodziliśmy do wszystkich napotkanych domostw. Teledysk został nagrany na naturalnej przestrzeni, wręcz nienaruszonej przez człowieka. Trudno było spotkać liczne domy

i mieszkania. Widoki zapierały dech w piersiach – zielona i bogata trawa, wysokie góry z czapami śniegu na wierzchołkach i gęste lasy obfite w świerkowe drzewa. Wzdłuż krajobrazu ciągnie się ulica łącząca większe miejscowości. Byliśmy bardzo zaangażowani. Koniec teledysku przedstawia młodą parę. To wielka niespodzianka dla nich jak i dla nas. Zaprosili nas do siebie, nie wiedząc nawet kim jesteśmy. Zaczęliśmy wszystko nagrywać, aż wkrótce dowiedzieli się o co chodzi. Tym samym stworzyliśmy im niezapomniane nagranie, które tworzy końcową część singla. Pełnym entuzjazmu teledyskiem jest zdecydowanie klip do piosenki „I ll be your man“. Krótki film przedstawia działalność zespołu i mnie w roli głównej. Są tam elementy nagrań z koncertów jak i całej trasy. Wszyscy są uśmiechnięci. Dlaczego? Ponieważ to, co robię sprawia satysfakcję. Jest to jak podawanie posiłku przez kucharza. Skoro posiłek smakuje, to dlaczego nie przyrządzić dania drugi raz?

Muszę przyznać, że większość moich utworów jest wynikiem inspiracji kobiet, które znalazły się w moim życiu. Wszystkie z nich traktowałem poważnie i bez uprzedzeń. Nie wiązałem się z kimś dopóki nie kochałem i nie czułem tego w kościach. Pierwsza moja muza jest tajemnicą dla dziennikarzy oraz paparazzi. Nigdy nie dowiedzą się kim była dziewczyna dla której stworzyłem dwa najwybitniejsze utwory - „You’re beautiful“ i „Goodbye my lover“. Mogę zdradzić jedynie fakt, że moje rozterki z nią działały się za czasów studiów. W chwili obecnej wiem tylko tyle, że jest ona szczęśliwą żoną oraz matką. Chyba naprawdę nie zdawała sobie sprawy jak ogromną motywacją była dla mojej twórczości. Dwie pierwsze płyty przesiąkają melancholią. Ciągłe czułem się samotny. Nie potrafiłem pogodzić życia osobistego z życiem sławy. Byłem przepracowany, ciągle zmartwiony i myślący o przeszłości. Nie potrafiłem się odnaleźć w świecie fleszy. Zawsze zachowuję normalność i prostotę. Nie chciałem i nie chcę się ogłupić. Oczywiście, mój stan rozdarcia duszy owocował to nowymi piosenkami. Cóż z tego, gdy czułem się samotny i opuszczony. Po prostu jakby jakaś część mnie odleciała gdzieś w głąbię nieba. A ja czekałem na powrót tej nieopisanej energii, która wróci na przeznaczone dla niej miejsce. Intensywna praca bez odpoczynku doprowadziła mnie do utraty inspiracji dla muzyki. Zrobiłem przerwę w nagrywaniu po albumie „Some

kind of troubles“. Chociaż przyznaję, że mój trzeci album odznaczał się większym entuzjazmem, sensem życia i nadzieją. Myślę jednak, że każda moja piosenka zdaje się być prawdziwa. Dotyczy ona ludzkich problemów. Możesz zinterpretować to na swój sposób. Bowiem każdy z nas posiada różne historie i zraniona miłość nie musi dotyczyć tylko uczucia partnerskiego. Może być to miłość do przyjaciela czy matki. Być może nie każdy gustuje w tego rodzaju peryferiach muzyki. Zresztą, współcześnie teksty utworów tracą na swojej ważności... Mimo wszystko, sądzę, że to autentyczność pozwala mi na sukces. Nikogo nie udaję. Śpiewam, aby uwolnić emocje, o których nie potrafię rozmawiać.

W ostatnim albumie musieliśmy stworzyć coś innowacyjnego. Coś zauważalnego, intrygującego, a zarazem zgodnego z naszym dotychczasowym stylem bycia. Tak! Wymyśliliśmy. Lądowanie na księżycu. Kosmos intryguje. Kosmos jest niezależny. Kosmos posiada swoje prawa, kosmos posiada tajemnice. Księżyc jest jedną z najbardziej interesujących planet, a tym samym jedną z najbliższych człowiekowi. Księżyc jest introwertyczny. Nie pokazuje się wszystkim za dnia, chowa się w mroku i wylania tylko dla wybranych. Pokazuje się przeważnie osobom, które mają tendencję do refleksji i przemyśleń. Księżyc nie jest dla byle kogo. Księżyc trzeba zrozumieć. Kiedy spoglądasz na nocne niebo widzisz gwiazdy i potężną kulę, która dla ludzkiego oka przypomina raczej srebrną piłkę aniżeli planetę. To chęć do nostalgicznego powrotu do przeszłości. Świetlisty i charyzmatyczny Księżyc jest źródłem zainteresowania dla gatunku ludzkiego. Gdy na nim wylądujesz, będziesz chciał go wysłuchać. Dlatego lądowanie na Księżycu. Dlatego „Moon landing“.

Odpowiadałem w setkach wywiadów. Muszę przyznać, że wywiady są bardzo podobne do siebie. Czasami miałem wrażenie, że pytania kierowane do mnie są wręcz identyczne. Bardzo dużo reporterzy wypytyują o moją przeszłość. Mówię więc otwarcie o tym co robiłem i jaki miało to wpływ na terażniejszość. Wywiady to gra słowna, w której możesz użyć ironii, humoru i szczerości. Kłamstwo nie wchodzi w grę. Przynajmniej u mnie. Po prostu większość rzeczy, które mówię jest groteskowe. Inteligentni rozumieją, masowość ludzka zapamięta tylko na poziomie wypowiedzianych słów.



Po koncertach wraz z zespołem przeważnie przebieraliśmy się i braliśmy zimny prysznic. Muzyka, którą wykonywałem mieściła się w kanonie folk-rocka, elementów soulu i popu oraz reszty wszelakich odmian. Nie należała ani do zbyt powolnej, ani do zbyt szybkiej. Chociaż niektóre utwory nosiły ze sobą równomierne brzmienie i melancholię. Nawet utwory powolne potrafiliśmy wykonywać w sposób energiczny. Dlatego pot był oznaką dobrego i solidnego koncertu. Po odświeżeniu ciała odwróciłem się ku drzwiom frontowym prowadzącym do naszego autobusu. Wtedy czekałem na rzeszę fanów, która szukała mojej obecności. Wiedziałem o tym doskonale, toteż zawsze z chłopakami czekaliśmy z tyłu budynku. Chcieliśmy sprawić uśmiech na twarzach naszych słuchaczy, fanów czy ludzi, którzy po prostu lubili naszą muzykę. Opierałem się o mur, gdy nagle usłyszałem piski, śmiech i ekscytację w głosie. Nadeszła fala płci pięknej, ale i panów czekających w kolejce. Wyjąłem czarny marker i podałem dwa następne Johnowi Garrisonowi. Niech chłopaki również rozdadzą autografy. Gdyby nie oni, kim byłbym teraz? Obejmowałem czule moich miłośników, podpisywałem się dynamicznym ruchem na plakatach. Niektóre osoby prosiły o zdjęcie. Nie mogłem obdarzyć swoją obecnością każdego, nie byłem w stanie oddać się każdemu. Przyprawiało mnie to później o wyrzuty sumienia, ale z drugiej strony niezmiernie cieszyłem się, że przybywa wciąż mnóstwo ludzi, którzy naprawdę cenią starania zespołu.

Byłem w wielu zakątkach świata. Widziałem śnieżyce, upały, silne wiatry. Widziałem góry skaliste, wyrzeźbione wyżyny, obszary piaskowe, lasy deszczowe. Występowałem w niezliczonej ilości krajów. Leciałem do Chin, a dwa dni po tym byłem już we Francji. Następnie udałem się koncertować do Wielkiej Brytanii. Tam też zawarłem ślub z moją ukochaną, a w następnym tygodniu dwukrotnie znalazłem się z gitarą i mikrofonem w rękę na polskiej scenie. Później powędrowałem do Niemiec, do Brazylii... Mógłbym wymieniać w nieskończoność. A działo się to w zaledwie rok mojej trasy koncertowej. Szata roślinna, zwierzęta, miasta, kultura ludzi, architektura. Wszystko posiada swoją własną odrębność, własne zasady i różniący się całokształt. Raz przebywałem w przeszłości, raz w przyszłości. Ciągłe zmieniając godziny. Nawet nie zdążyłem się do

nich przyzwyczaić. Bo jutro był wyjazd. Bo jutro czekał na mnie już inny hotel i inna scena. Fotografowałem wiele, robiłem zdjęcia z publicznością i publiczności. W każdym miejscu pozostawiłem część historii siebie. Spoglądając na rozwój miast, cywilizacji, różnic rasowych i etnicznych - mogę tylko przyznać, że świat jest piękny i wciąż tajemniczy. Istnieje mnóstwo miejsc, gdzie moja stopa nie powstała. Istnieje mnóstwo twarzy, których nie miałem przyjemności jeszcze spotkać.

Słońce zarzyło gorącymi promieniami uderzając o złociste strzechy domów. Dachy opasane słomą stwarzały kapelusze i jakby te kruche budynki gaworzyły ze sobą nawzajem zbudowane z wyblakłych już cegieł. Bruzdy brązowe i miedziane szpeciły ich ściany. Wicher szumiał wesoło i porywał liście w taniec. Raz wolny, raz prędko. Podmuchy rozwiewały zakwitłe mleczce lekarskie, a głęboką rzekę koło borów lasów w ruch jeszcze większy wprawiały. Drzewa zaś kołysały się na wietrze jakby bujały w marzeniach swoich, gdzieś w ich koronach skryte myśli wędrowały. Zapach świerków, wilgoci rzeńskiej nabrzmiewał w nozdrzach i dodawał wigoru. Ptasie pióra zlatywały zaś powolnym tempem spod drewnianych belek nad wejściem, a śpiewy poranne tych barwnych ptaków nasyciły wiejskie niziny jakąś dozą nadziei i radości z zbliżającego się dnia. Koguci okrzyk oznajmiał poranną rosę na liściach, wyjście na nowo główek kwiatów wśród łąk. Zielona przestrzeń wysokich traw otaczała domki pojedynczo stawiane naprzeciw siebie z odległościami obszernymi. Tak, aby nikomu nie zawadzać, tak by nikogo nie zbudzić. Chociaż większość mieszkańców i tak o wczesnym poranku wstawała z łóżek i pędziła do kurnika oczekując pysznego śniadania. Jakież było rozczarowanie, kiedy kura nieposłuszna nie zostawiała jaja. Gospodarz wtedy zawiedziony nakarmił swoją hodowlę i pognał po mleko. Ażeby nie przyszedł z niczym w dłoniach, aby swoją rodzinę wyżywić. Potem udawali się na pracę w roli, inni jechali do miasta po produkty zapisane na listach, które tworzone bardzo dokładnie, aby to niczego nie zapomnieć na najbliższe tygodnie. Obraz ten towarzyszył mi przez pewien okres czasu, kiedy chciałem poznać trochę sielanki wiejskiej. Przyjechałem kiedyś w to miejsce we Francji w dzień całkowicie słoneczny. Zacząłem analizować sytuację, które widziałem i zachwyciłem się każdą drobnostką. Małe rzeczy, jak widok na pastwisko,

potrafił zaciekawić. Widok na kręty strumyk zdawał się nawet cieszyć. Miłe było uczucie, kiedy mogłem odetchnąć i odpocząć od codziennego hałasu oraz nacisku. Parę dni potem musiałem wracać do miasta. Trudno było opuścić spokój i ciszę. Czasami po prostu mi tego brakuje. Zapachu lasu, który kojarzy się z rodzinnym domem i odpoczynku od świata zewnętrznego. Tęsknię za bez troską.

Piski przedzierały się do uszu oddziałując na całe ciało. Gwar nie ustępował. Duszny tłok nie pozwalał na swobodę. Dźwięk maszyn rozbrzmiewał na uboczach, ktoś wołał, ktoś krzyczał, ktoś z kimś rozmawiał. Ktoś szturchnął ciało z mocną siłą, ktoś przemknął przed oczyma. Utkwiony w korku, utkwiony w kolejkach i brzdękach tętniącego miasta. Wyłożona czerwona kostka, brak zielonych roślin. Gdzieś tam posadzone sztucznie dobrane bratki, róże i stokrotki ustawione w rzędach. Zdezorientowany, lecz przecież przyzwyczajony. Ludzie gawędzący w kawiarniach, gdzieś teraz popijali kawę. Inni udawali się w zaćmione kluby. Inni szybkim tempem udawali się pośpiesznie do niewiadomych miejsc. Część z torbami pędziła przed siebie. Ktoś przejechał z prędkością światła. Dym z kominów fabryk przedzierał się przez głowy przechodniów. Trafiał do ich płuc trujący zaduch miejskiego życia. Los Angeles było jednym z tych miejsc, gdzie nie mogłeś znaleźć drogi ucieczki. Ucieczki przed hałasem, ciągłymi wiadomościami, biegiem informacji. Przebywałem tam z chłopakami, aby skombinować nowe brzmienia na płytę. Spędzaliśmy kilkanaście dni do późnych godzin. Jednak nie przeszkadzało nam to. Los Angeles żyło całą dobę niezależnie od pory dnia i nocy.

Ocean błękitny a w nim szumiące fale, które łagodziły napięcie i relaksowały ciało. Wśród odgłosu tego panował gwar rozmów kolegów z zespołu. Kokosowe drinki, zimne trunki piwne zaspokajały pragnienie w gorący dzień letni. Przebywałem gdzieś na południu odcięty od rzeczywistości. Potrzebowałem regeneracji. Gdzieś na tyle plaży znajdował się basen - obszerny, przyozdobiony, a wokół niego rozstawione leżaki z stolikami z bambusa. Rezydencja z widokiem na fale morskie, wewnątrz warunki wręcz królewskie. To był zasłużony odpoczynek oraz kolejna okazja do zauważenia, ile świat ma w sobie dobrodziejstw.

Deszcz tłukł w okno pokrywając grube szkło kroplami. Umysł wdzierał widok martwy, widok melancholijny. Widziałem go tylko ja i próbowałem opisać towarzyszące mi uczucia. Papier sam nasunął się naprzeciw dłoni, długopis sam powędrował w prawą rękę. Ruchy palcami były samoistne. Ciąg słów nabierał bogactwa, stawał się coraz większy. Gdzieś natłok myśli i emocji upłynął razem ze spadającymi kroplami tańczącymi w chłodnym wicherze. Mrok w pokoju był niczym, bo kiedy wkracza miłość do serca, wszystko staje się prostsze. I nie wyraziście nagły i szybki. Wspaniała czas, wykorzystane możliwości. Zamówiłem duży billboard, który później zmontowaliśmy na ścianie. Była to okładka naszej pierwszej płyty. Zamówiłem również tort. Dekoracyjna koronka oplatała śnieżne ciasto. Puszysta pianka na brzegach sprawiała mimowolny apetyt wśród przybyszów. Każdy pragnął skosztować słodkiej nuty rozplływającego się w ustach kawałka tortu. Sala bankietowa cieszyła się liczną grupą zaproszonych gości ubranych w stroje u czarno-białej tonacji. Tu i ówdzie kobiety zarzuciły na sobie czerwone i niebieskie akcenty garderoby. Cieszę się niezmiernie, że ludzie chcieli przybyć na Ibizę specjalnie dla nas. Pogoda była rewelacyjna. Na zewnątrz panował ciepły klimat. Wieczór ochłodził temperaturę, słońce zaszło za horyzont, a ptaki rozbrzmiewały gdzieś w oddali. Przyjemny wiatr rozczesywał kosmyki włosów podczas rozmów przy altanie opasanej białymi różami. Dookoła rozstawiono długie stoły i przyozdobione krzesła. Obrusy miały barwę landrynkowej zieleni. Cienkie, pofałdowane narzuty spoczywały na krzesłach. Wpasowywały się w nastrój wieczornego wydarzenia. Barwy akompaniowały ze sobą. Patrzyłem z podziwem na każdy dopracowany szczegół. Kelnerzy przechodzili nieustannie nosząc to nowe tace pełne jedzenia. Drób, wieprzowina, wołowina, sałatki mięsne i warzywne, owoce egzotyczne. Stół był przepelniony dobrobytem smacznych potraw. Naprzeciw stały stoliki mniejsze z połączanymi i grubymi nogami. Mieściły się na nich krewetki w cieście, sushi, małże i ślimaki w brązowych, obszernych skorupach. Drugi stolik zawierał talerze bogate w czerwone homary, dorsze i karpie. Wkrótce przybyła swego czasu moja narzeczona. Sofia wyglądała olśniewająco. Zresztą jej uroda fascynowała na każdym kroku. Chwyciłem delikatnie dłoń ukochanej i musnąłem ją ustami.

- Moja najdroższa... - Zaśmiałem się. - Chciałabyś mi potowarzyć dzisiejszej nocy? Będę twoim podwładnym.

- Oczywiście, najdroższy! - Uśmiechnęła się. Komizm polegał na traktowaniu jej jak księżniczki, ponieważ korzenie Sofii należą do rodziny królewskiej Wielkiej Brytanii. Choć są bardziej odległe to można uznać, że w jej żyłach płynie krew królewska. Uroda kobiety zdawała się wpasowywać w kanony życia wyższych sfer. Włosy jasne i proste sięgały do jej ramion i oplatały smukłą twarz. Wyraziste kości policzkowe i niebieskie oczy sprawiały, że była jeszcze bardziej atrakcyjniejsza. Choć wyższa ode mnie, nie przeszkadzało mi to. Przewyższała mnie wzrostem i przenikliwą charyzmą.

Poszliśmy przywitać się z pozostałą częścią gości. Wymienialiśmy się pocałunkami. Zacerpnęliśmy kilka łyków czarnej herbaty z mlekiem i cukrem. Tradycja pozostanie tradycją. Nawet tutaj na Ibizie często przygotowywałem i parzyłem herbatę przywieziona z Londynu. Zjedliśmy ostre skrzydełka - moje ulubione danie. Były kruche i pikantne. Wprost idealne dla kubków smakowych. Później sięgnąłem dłonią do kieszeni po klucze. Wkrótce ja i Sofia podeszliśmy do barku pełnego wytrawnego alkoholu go wytrawnego alkoholu - butelek słodkiego i gorzkiego wina. Uwielbiam tę czerwoną barwę przelewającą się w lśniących kieliszkach. Nakazałem kelnerom podać alkohol i naczynia na stoły. Sofia poszła porozmawiać z rodziną, a ja udałem się do chłopaków. Wciąż zastanawia mnie dlaczego ludzie sprawują uroczystości, gdy nadchodzi jubileusz. Czemu ma to służyć? Uczczeniu tego co dokonane? Takie jest założenie. W rzeczywistości spotkania tego rodzaju bardziej zwracają uwagę na samą zabawę niż powód dla którego zebrało się najbliższe grono.

Nie pamiętam ile było osób. Pamiętam, że liczba gości zdawała się wzrastać w oczach z każdą godziną. Scena przyozdobiona purpurowymi płatkami kwiatów pachnących owijała brzegi. Mikrofon na stojaku stał na środku samotny i czekający na przemówienia. Wszyscy zgromadzili się w miejsce przed sceną. Światła przyćmiono, a barwy sali przeistoczyły się na brunatno-czerwone. Kolory sprzyjające cieplej atmosferze. Małymi schodami wszedłem na górę podestu. Pognałem do mikrofonu, który wołał mnie już przedtem o podejście z pretensją, że zwlekałem tak długo.

Przywitałem się i powiedziałem kilka słów wstępnych, jak to w przemowach wypada powiedzieć. Wszystkim serdecznie podziękowałem za przybycie. Mój głos stosunkowo niski i przyjazny z akcentem dziś wyjątkowo brytyjskim. Patrzyli się na mnie, ich wzrok wpleciony w mój. Drgnąłem lekko próbując zachować równowagę i nie uwolnić mnożących się emocji wewnątrz.

- Działalność mojej twórczości dobiega lat dziesięciu odkąd pierwszy singel dostał uznanie. - Najpewniej czułem się na scenie, lecz tego dnia było inaczej. Pewność siebie uciekła szybko chociaż zawsze jest ze mną, gdy występuję. Jednakże ten występ był występem innym. Bardzo ważnym, wzruszającym, przedstawiającym przeszłość i przyszłość. - Działalność moja i chłopaków, którzy tworzą to, kim jesteśmy teraz. Działalność menadżerów koncertów, działalność producentów. Powtarzano mi, że muzyka nie da mi korzyści. Mylili się definitywnie. Muzyka daje ogromne korzyści. I nie chodzi tutaj o banknoty. Mam na myśli satysfakcję z tego, co robię dla siebie i dla innych. To niesamowite uczucie. - Mój wyraz twarzy był nadto poważny. - Dziękuję, że wierzycie, że jesteście piękni. Moja piosenka ma was tylko w tym utwierdzić! - Uśmiechnąłem się dla rozluźnienia panującego i trochę męczącego poczucia powagi. Widownia zaśmiała się, szczególnie kobiety, które przypomniały sobie o piosence „You're beautiful“. - Głos oddaję Johnowi Garrisonowi. - Przekazałem mu mikrofon.

- Dziękuję. W imieniu własnym i chłopaków. Dziękuję, że mogliśmy i możemy nadal umilać muzyką każdemu z was chwile smutku i radości. Naprawdę nie mam pojęcia jak szybko minął ten czas. James wygląda nawet młodziej, niż przedtem. Nie uważacie? – Zaśmiał się, a publiczność wraz z nim. - Pamiętacie go? Broda zasłaniająca twarz i dłuższe włosy do karczka. Jasne spodnie jak dzwony i odstający pasek. Zwykły gość z niezwykłym głosem. - John zamilkł na chwilę. - Chciałbym kiedyś razem z nim powędrować przez tłum dłoni, ale niestety nie doszedłem do takiego poziomu jak on. Setki ludzi jest w stanie obmacać jego ciało w ciągu paru sekund, gdy mi nie udało się to przez dotychczasowe życie nawet w połowie! Moi drodzy, brawa dla tego człowieka! - Zaczął klaskać zachęcając innych.

Nie trzeba było ich prosić, sami klaskali teraz z uśmiechem na twarzy. Promienistym i subtelnym.

Chłopaki rozstawili sprzęt i sprecyzowali nagłośnienie. Zasiadłem do pianina i smukłymi palcami dotykałem klawiszy z delikatnością oraz wdziękiem. Z czasem brzmienie nabrało tempa, a ja obdarowany emocjami wstałem i kopnąłem krzeselko, jak to mam w zwyczaju. Zacząłem czuć muzykę coraz bardziej i bardziej. Kosztowałem się nią, kosztowałem się każdym dźwiękiem. Śpiewając przeplatały się przez głowę obrazy, uczucia, doznania. Czułem również uczucia publiczności. Czułem jedność i wspólnotę. Śpiewanie wyzwala, pozwala się identyfikować z kimś, z samym sobą i swoimi historiami. Przeszliśmy do kolejnego utworu. Zachęcałem publiczność do wspólnej zabawy, a ta wraz ze mną śpiewała, ruszała się żwawo. Po wykonanych utworach dla zaproszonych zapadła cisza. Spojrzałem na nich wszystkich z żarzącym się sercem w piersi.

- Nasza muzyka zakorzeniła się w sercach moich fanów i słuchaczy. Zakorzeniła się też w każdym z nas. Poniosła ze sobą emocje, uczucia, autoanalizę i refleksję. U niektórych być może zmieniła coś w światopoglądzie, u niektórych może dodała nadziei. Toteż to co zrobiliśmy i co zrobimy ma wpływ na nie tylko nas, a ludzi, którzy po naszą muzykę sięgali. I mam nadzieję, że sięgać będą. Niech ten jubileusz miłowym będzie kamieniem! - Westchnąłem wręcz ostatnie słowa. Łzy nagromadziły się w oczach. Nie były to łzy smutku, ani złości. Były to łzy pełne wzruszenia, dumy i szczęścia. Dziesięć lat mojego życia minęło. Dziesięć lat życia z muzyką.

Rzesza braw obdarzyła salę dużym gwarem. Ludzie spoglądali na siebie wymieniając słowa. Każdy zdawał się być zadowolony. Dobiegała północ. Zza granatowych zasłon w okiennicach wyłaniał się blask księżyca. Zagraliśmy kolejne utwory porywając w ten sposób ludzi do tańca. Objęci gaworzyli sobie coś do ucha. Inni przy scenie nucili melodię i słowa. Jeszcze inni przystąpili do posiłku zapijając go musującym, wytrawnym winem. Ktoś udał się na zewnątrz, aby zapalić papierosa lub przewietrzyć się po gamie przeżytych emocji.

*Agata Jedtke*

## Okiem jurora

O Wejherowskim Konkursie Literackim „Powiew Weny“ słyszałem kilka lat temu. Niespodziewanie tak się złożyło, że w konkursie jubileuszowym miałem okazję współdecydować o wyborze laureatów. Pragnę podkreślić, że obrady jury nie były burzliwe, a jednak wyjątkowo zgodne. Nie współpracowałem jeszcze z tak zgodnym jury. Zgadaliśmy się co do typowania najlepszych kandydatów do nagród. W większości też nasze upodobania literackie oraz oceny pokrywały się. Istnieją przecież obiektywne kryteria a także elementarne wyczucie smaku, które jest na tyle wyraziste, że pozwala wypracować wspólny mianownik i ostateczny werdykt.

Jako jurorzy nie przyznaliśmy jednak Grand Prix. Uznaliśmy bowiem, że Grand Prix to jest ten typ nagrody, która powinna trafić do autora za pracę nie wymagającą absolutnie żadnej korekty, a która nas przekona i nada się bez żadnej korekty do publikacji. Takiej pracy nie znaleźliśmy. Jednocześnie trzeba podkreślić, że poziom tej edycji konkursu był bardzo wysoki.

W konkursach literackich i literaturze ważne jest, żeby język potrafił unieść temat. Najbardziej ujęły nas (mnie osobiście również) te prace, które były bliskie ludzkiemu bólowi, których bohaterowie poszukiwali własnej tożsamości próbując zmierzyć się lub pozbierać po rozmaitych traumach, a właściwie czyniąc z tych traum i przeżytych przeżyć, sprzymierzeńca w walce o szczęśliwe życie.

Wśród nagrodzonych opowiadań jest historia z dzieciństwa, której język musi unieść ciężar szczęścia. Unieść ciężar szczęścia, to napisać dobry utwór szczęśliwy. To ogromne wyzwanie. Osobiście znam może



tylko kilka wierszy, które za to lubię, które są radośnie napisane, a jednocześnie nie są kiczowate i nie są przy tym sztuczne. I taka właśnie jest pierwsza nagroda w kategorii proza.

Pierwsza nagroda dla Martyny Selonke o przemoc seksualnej w rodzinie i jej traumatycznym skutku, potraktowany został z ogromnym wyczuciem. Tekst ten jest bolesny i chwilami brutalny, a co ważne nie nastawiony na epatowanie, czy wstrzeliwanie się w jakąkolwiek modę. Autorka z empatią traktuje swoich bohaterów, poza figurą ojca-kata i przekonująco kreśli ich portrety.

Marcin Romanik, laureat drugiej nagrody, zabiera nas w fantasmagoryczną podróż w przeszłość w poszukiwaniu zrabowanego przez nazistów skarbu i serwuje nam mieszankę kryminału i groteski w ogromnie zaskakującej sytuacji. Odczytując pointę z tego opowiadania można wysnuć wniosek, że losu nie da się oszukać, a przeszłości nie można zmienić mając nawet do dyspozycji wehikuł czasu.

Z kolei Arleta Gruba (nagroda trzecia), opisuje zbrodnię popełnioną na członkach rodziny narratorki. Rozwiązanie tej tragicznej tajemnicy morderstwa i znalezienie sprawcy okoliczności, czyni życiowym zadaniem, ale także szkołą życia, radzeniem sobie z bólem, czy definiowaniem siebie jako osoby.

Trzeba podkreślić, że nagrodzone prace w kategorii młodzieży (do lat 19.), były wyjątkowo dojrzałe, a ogólne poziomy bardzo wysokie.

W kategorii prozy dorosłych wygrało opowiadanie o charakterze wspomnieniowym. Pojawiają się w nim obrazy z sielskiego dzieciństwa na wsi, w otocze rodzeństwa i pod czujną, ale czułą, opieką dziadków. Niby nie ma tu akcji, ale jak się pojawia, staje się silną projekcją na zmysły. Dla przykładu jeden cytat: „...*wdychając powietrze czułem wilgotne drobinki mgły, podnoszące się z okolicznych łąk, wpadające do sypialni przez uchylone okno...*“. Czytając ten fragment czuję się to samo, co bohater. Mamy do czynienia z tekstem zmysłowym, tekstem poetyckim, nawet jeżeli podanym fabularnie, dynamicznie, zdarzeniowo, to jednak nic specjalnego się nie dzieje. A jednak językowo

to bardzo świadome siebie opowiadanie. Widać to w takich poetyckich zdaniach jak choćby: „*noc przeciągała się jak na złość*“. Czujemy, że przeciąganie może oznaczać dłuższą, ale może być też przeciąganiem zbliżającym budzenie się ze snu. Tego typu poetyckie zdania świadczą o tym, że mamy do czynienia z autorem, który dużo napisał i jeszcze dużo więcej przeczytał.

Z kolei Daria Kaszubowska w „Tajemnicy wydartej grobom“ podzieliła się z nami historią Jana, który próbuje dowiedzieć się, kim jest jego ojciec. Okazuje się, że prawda choć brutalna, potrafi ocalić. Opowiadanie jest świetnie skomponowane, równolegle zaciekawiane poszukiwaniami Jana, gdzie na koniec pokazana jest też historia jego matki zgwałconej przez bolszewików.

Trzecia nagroda autorstwa Bogny Zubrzyckiej „Opowiadanie o wielkim święcie i 14. szarych braciach“, to alegoryczna historia o upersonifikowanych kamieniach. Jest to zabawne opowiadanie mówiące o ludziach-kamieniach m.in. o Kamieniu Węgielnym, Filozoficznym, Narzutowym, Klasztornym, Nagrobnym i innych kamieniach-ludziach, które ze sobą dyskutują, roztrząsając mniej lub bardziej poważne problemy. Opowiadanie stylizowane jest na mowę gminną, skomponowane bardzo zręcznie i osadzone w lokalnych realiach wejherowskich, co jest atutem tego tekstu. To świetny pomysł, tak pokierować wyobraźnią. Sprawa symboli tych wszystkich kamieni, ma spory potencjał filozoficzny.

Wiersze laureatki pierwszej nagrody w kategorii poezji - Hanny Makurat, to subtelne erotyki, które poza kilkoma wyjątkami, skutecznie unikają banału i czułości, co jest bardzo niebezpieczne w przypadku wierszy erotycznych. Natomiast wiersze Bogumiły Mielewczyk, to z kolei poezja bardzo prosta formalnie, która ujmuje swoją estetycznością, taką różewiczowską przejrzystością, szacunkiem dla ciszy i świadomością rozliczania w poezji. Widać w tym dużą kulturę literacką, warsztat poetycki i sprawność językową.

Gratuluje władzom lokalnym, że wspierają ten konkurs, dlatego że żyjemy w czasach, kiedy jest coraz więcej spektakularnych nagród,

spektakularnych festiwali za ogromne pieniądze. Mam wrażenie, że lokalnych konkursów literackich, lokalnych w najlepszym tego słowa znaczeniu, jest coraz mniej. Takie konkursy są nam potrzebne i trudno od razu wskoczyć na poziom Nagrody Szymborskiej, czy Nagrody Nike bez tych etapów pośrednich.

Tego typu konkursy jak „Powiew Weny“ pełnią też rolę warsztatów literackich, podczas których można przekonać się lub odebrać sygnał, czy to, co robię jest dobre, czy złe. Pragnę też podkreślić, że żaden juror nie jest nieomylny i jeżeli ktoś nie znalazł się w gronie laureatów, nie znaczy, że pisze źle lub nie ma szans na dalszą karierę literacką, bo tak przecież może być, czego piszącym z serca życzę.

**Tadeusz Dąbrowski**

## SPIS TREŚCI

<i>Bogdan Tokłowicz</i> - Drodzy Czytelnicy	5
WYNIKI KONKURSU	9
<i>Krzysztof Szkurłatowski</i> - Urodziny	11
<i>Daria Kaszubowska</i> - Tajemnica wydarta grobom	19
<i>Bogusława Zubrzycka</i> - O wielkim Świącie i o czternastu szarych braciach	31
<i>Tomasz Mering</i> - Gagoł. Początek	37
<i>Hanna Makurat</i> - kolejna rocznica wiosny, szczęście, siostrze	46-48
<i>Bogumiła Mielewczyk</i> - Niech ten jubileusz milowym będzie kamieniem	49-51
<i>Andrzej Waszkiewicz</i> - liberal i niewolnik, nic, przeszła terażniejszość	52-55
<i>Patrycja Pionke</i> - Jubilat prosi o szklanę kuli, Kiedy mi odpowiesz, Milliarium	56-59
<i>Martyna Selonke</i> - (bez tytułu)	60-72
<i>Marcin Romanik</i> - (bez tytułu)	73-83
<i>Arleta Gruba</i> - (bez tytułu)	84-97
Agata Jedtke - Niech ten jubileusz milowym będzie kamieniem	98-110
<i>Tadeusz Dąbrowski</i> - Okiem jurora	111-114
SPIS TREŚCI	115

Wszystkim autorom,  
którzy wzięli udział  
w X edycji jubileuszowego  
Wejherowskiego Konkursu Literackiego  
„Powiew Weny 2015“  
z całego serca dziękuję  
i życzę powodzenia  
w następnych edycjach „Powiewu Weny“  
oraz innych konkursach literackich

**Przewodniczący Jury**  
**Bogdan Tokłowicz**



**MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
W WEJHEROWIE  
IM. ALEKSANDRA MAJKOWSKIEGO**

ISBN 978-83-928233-7-7